

TYGODNIK LITERACKI

Nr 16 (31) ■ Rok II ■ 21 kwietnia 1991
ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

ZANUSSI O EUROPEJSKIEJ TELEWIZJI ■ GRUPIŃSKI - PRÓBA SAMOKRYTYKI? ■ TOMCZYK
O KONIECZNOŚCI PRZEGRYWANIA WYBORÓW ■ WILLENBERGA OPOWIEŚĆ O ZAGŁADZIE
NARODU ŻYDOWSKIEGO ■ PANAS - O LITERATURZE POLSKO-ŻYDOWSKIEJ I ŻYDOWSKO-POLSKIEJ

Nigdy nie wróciłam do domu

z Adiną Błady Szwajgier
rozmawia Anka Grupińska

*W poprzedniej naszej rozmowie porównywała pani umieranie, śmierć w getcie, ze śmiercią w powstaniu warszawskim.**

Umieranie jest zawsze takie samo. Proszę pani, ja jestem lekarzem... To jest tak, jak Marek** powiedział w rozmowie z Hanną Krall: - To ludzie się umówili, że się inaczej umiera, ludzie się umówili. Umiera się tak samo...

Czy to znaczy, że nie ma różnicy, czy umiera się z bronią, czy w komorze gazowej?

Jest pewnie łatwiej, ale nie ma różnicy. Żadna śmierć nie jest mniej warta i mniej bohaterska. Tyle tylko, że jak się umiera z bronią w rękę, to często się nie wie, że się umiera. To przedtem jest lepiej, przedtem, zanim się umiera, bo się nie myśli w ogóle o umieraniu, tylko myśli się o walce. Żołnierz nie myśli o umieraniu, żołnierz myśli raczej o zabijaniu, o zwycięstwie. Ludzie się tylko umówili, że śmierć z bronią w rękę jest lepsza, piękniejsza. To jest ta sama śmierć. To tylko to „przedtem” się liczy. A poza tym, jak człowiek jest uzbrojony, to nie ma w nim strachu.

No, a te zastrzyki dla dzieci? To po to, żeby tym dzieciom oszczędzić strachu?

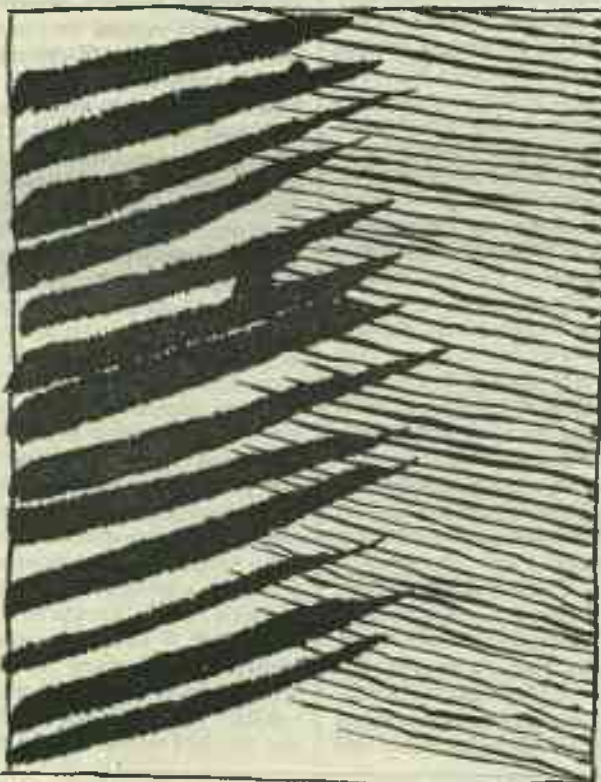
Czy pani sobie wyobraża, jaka była śmierć tych ludzi, którzy szli do gazu? Czy jest pani w stanie to sobie wyobrazić? A te dzieci?... Kossak-Szczucka w jakiejś swojej książce pisze, że ludzie, którzy mieli głęboką wiarę, mieli więcej szans na przeżycie. To jest dla mnie bzdura. Ale jest tam jedno zdanie...

Kiedy ona pisze o tym, jak te niechodzące jeszcze dzieci jechały do gazu i takie malutkie dziecko zrobiło rączką „pa, pa”... A inne, które idzie do gazu pyta: - Mamusi, dlaczego tu jest ciemno? Przecież ja byłem grzeczny. I dorosły się też boi... A na pani pytanie o strach, odpowiem przedwojennym dowcipem. Mostem Poniatowskiego idzie zbankrutowany kupiec i spotyka znajomego. - Co się stało? - Jestem skończony, idę się utopić. - Uważaj, samochód jedzie! - Oj!... Powiedzieć pani, co to jest strach przed śmiercią? Jeśli matki mogą porzucać dzieci?

Czy pani sądzi, że w tamtym czasie nie było ludzi, którzy by się śmierci nie bali?

* Powyższy tekst jest fragmentem rozmowy z Adiną Błady Szwajgier zamieszczony w książce Anki Grupińskiej *Po kole. Rozmowy z żydowskimi żołnierzami*, która ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa „Alfa”. Recenzja z tej książki w najbliższych numerach „Tygodnika Literackiego”. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

** Marek Edelman



STANISŁAW FIJAŁKOWSKI *Talmud polski* 1988

Jeżeli ludzie popełniali samobójstwa, a popełniali je, jak pani wie - to popełniali je też ze strachu, ze strachu przed tą drogą do śmierci. Jeśli muszę umrzeć, to przynajmniej niech ta śmierć będzie momentalna. Niech nie idę na śmierć.

Czy to był strach przed dalszym życiem, takim życiem, i czekaniem na śmierć? Czy był to strach przed taką właśnie śmiercią?

Przed taką śmiercią. Przed komorą gazową.

A ortodoksyjni Żydzi, którzy szli na śmierć i mówili Szma Israel.

A to jest co innego. Jest takie pojęcie *kidusz haszem*. Oni umierali jako ofiara całopalna. Zresztą to nie znaczy, że się nie bali. Ale Bóg był z nimi. Nie wiem, może łatwiej jest umierać z Bogiem?

I kolejny stereotyp. O tych brodatych starcach, którzy szli do transportu, a potem do komory ze słowami Szma Israel, mówi się okrutnie - szli jak barany na rzeź.

Proszę pani, jak barany to szli wszyscy. Warszawianie wychodzili po powstaniu jak barany. Było trzech żandarmów i sto tysięcy ludzi i nikt się nie rzucił na żandarma. Bo ci żandarmi byli uzbrojeni, a oni bezbronni. I to wystarczyło, żeby szli jak barany. Nie można było rzucić się na żandarmów i rozbić się! Cała Warszawa tak szła... A ci, którzy mówili *Szma Israel* nie szli jak barany. Oni się oddawali Bogu, który postanowił raz jeszcze doświadczyć naród wybrany.

Mówimy o strachu przed śmiercią. Czy uważa pani za niemożliwe, by taki bezbronny wobec śmierci człowiek umiał ją zrozumieć i pogodzić się z nią na tyle, by nie czuć strachu?

Istnieje coś, co nazywa się instynktem życia, i jest to niezwykle silny instynkt! I ten zbankrutowany kupiec na moście Poniatowskiego, zdecydowany na śmierć, instynktownie cofnął

dokończenie na s. 4

Henryk Grynberg

W pamięci

Rysuję w pamięci stół przy oknie
i małego chłopca przy stole
jest to pierwszy stół w jego życiu
matka podaje talerz

jedzenie jest nie całkiem koszerne
więc chłopiec spogląda w okno
czy nie nadchodzi ojciec
który nie powinien wiedzieć

stół jest szary i szaro w oknie
nawet talerz jest wypełniony szarością
nie ma światła ani koloru
w tym wspomnieniu

ojciec nie nadszedł
został za oknem
zabity i zagrzebany
niedaleko od domu

matka wszystko podała
i poszła na koniec świata
bez niczyjej pomocy umarła
zawsze niezależna

nie mogę jej skłonić żeby patrzyła w okno
kreślę kreślę ale nic z tego
uparcie odwraca twarz
niewidzialną w szarym cieniu

ale czuję spojrzenie przy stole
gdy podaję ulubioną potrawę
jej wnukowi

przegląd kulturalny

12 IV w redakcji „Tygodnika Solidarność” odbyło się wręczenie nagród przyznanych w konkursie na recenzję prasową a obecni byli (oprócz laureatów) niektoży jurorzy: Tomasz Burek, Andrzej Tadeusz Kijowski i Piotr Wierzbicki. Po części tzw. oficjalnej (dyplomy itd.) wszyscy przeszli do nieformalnych rozmów przy kawie i ciastkach. ■ 10 IV w kawiarni „Czytelnik” odbyło się spotkanie, które miało na celu promocję książki: *Jan San: Moje przygody z psioniką* Czesława Białczyńskiego oraz *Koniec końców* Marka Kreutza. W spotkaniu wzięli udział Maciej Parowski, Marek Oramus i Marek Pąkciński. ■ Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie w najbliższym czasie zamierza zorganizować wystawę *W kręgu paryskiej „Kultury”*, poświęconą głównie ludziom, którzy tworzyli Instytut Literacki w Paryżu, wydawali „Kulturę” i książki w bibliotece „Kultury”. ■ 14 IV na Rynku Starego Miasta odbyła się promocyjna sprzedaż książek Wojciecha Niżyńskiego *W cieniu miłości*. Jest to książkowa wersja serialu *Labirynt*. Powieść podpisywali aktorzy grający w filmie i reżyser. I wszystko to zorganizował Klub Księgarza. ■ Krakowowi przybyła nowa księgarnia „Salon IRSA-WAWEL”, otwarta 12 IV na Wawelu. Właściciele, państwo Józef i Maria Grabscy, oferują głównie luksusowe wydawnictwa poświęcone sztuce. ■ „Te zdjęcia nie należą do sztuki. Lokują się na jej obrzeżach. Programowo są nieostre, bo nieostre są pojęcia, idee. Najistotniejsze jest tu samo przesłanie – sprzeciw wobec anarchii myśli, zjawisk, które teraz dochodzą do głosu – antysemityzmu, nacjonalizmu, wszelkiej demagogii” – powiedziała specjalnie dla „Tygodnika Literackiego” Nami Michejda. Wernisaż jej pięknych prac odbył się 9 IV w Małej Galerii ZPAF przy placu Zamkowym. ■ Do 28 IV w warszawskiej „Zachęcie” podziwiać można akwaforty i litografie Maxa Ernsta. ■ Zdjęcia z inscenizacji ostatniego spektaklu Tadeusza Kantora *Dziś są moje urodziny* oraz rysunki artysty prezentowane są do 10 V w Galerii Foksal. ■ W związku ze zbliżającą się wizytą Papieża w Polsce organizowany jest konkurs fotograficzny na najlepsze zdjęcie Jana Pawła II z trzech poprzednich wizyt w kraju. ■ W warszawskim Teatrze Północnym gości krakowski Teatr STU ze spektaklem *Powrót Pana Cogito*, którego tworzyłem literackim są teksty Zbigniewa Herberta. ■ 12 i 13 IV w teatrze „Scena Prezentacje” można było oglądać spektakl *Cote Rimbaud* zrealizowane i wykonane przez francuską aktorkę Pierrette Dupuyet. ■ 17 i 18 IV na Scenie im. Haliny Mikołajskiej Teatru Dramatycznego gościć będzie Moskiewskie Międzynarodowe Centrum Teatralne im. M. Jemiołowej ze spektaklem *Zaproszenie na egzekucję* Vladimira Nabokowa. ■ Krakowski Teatr Publicystyki zaprasza 6 IV na

sady przesady

[...] Wszystko się u nas zmieniło. Jest kompletnie nowa sytuacja polityczna, jesteśmy u siebie, w wolnym kraju. A przecież przez ponad trzydzieści lat służyłem jakimś reżimowi, pracowałem za pieniądze tego reżimu, pod kontrolą tego reżimu, w sytemie bardzo surowej cenzury. Jak to się stało, że mogę dzisiaj bez wstydu występować publicznie, że widownia chce oglądać moje stare filmy? Jest kilka aspektów tego zjawiska i nie dotyczą one tylko polskiego filmu. Nie chcę, by wyglądało tak, że to my jesteśmy bohaterami, a Rosjanie, Czesi, Węgrzy czy Litwini nimi nie są. Myślę, że dotyczy to wszystkich kinematografii, które za sprawą Jałty znalazły się w sferze wpływów radzieckich. Polskie kino potrafiło stworzyć fresk przedstawiający historię Polski. W naszych filmach jest więcej prawdy niż w „Trybunie Ludu”. Bardzo trudno byłoby znaleźć książki, które ułożone w serię pokazałyby, jak Polska szła ku demokracji. A z filmów taką serię dałoby się ułożyć.

(ANDRZEJ WAJDA, „Rzeczpospolita” nr 87)

premierę spektaklu Krzysztofa Miklaszewskiego *Lechu czyli każdy – rzecz o Lechu Wałęsie* w konwencji kinoteatru, przedstawionej przez ulamki-przelanej na papier, utrwalonej w obrazie i spotęgowanej w głosie-rzeczywistości Polski powojennej. ■ W Krakowie na 7 przeglądzie kabaretów Paka '91 w dniach 11-14 IV spotkały się amatorskie kabarety z całej Polski (m.in. „Styka”, „Bez oparcia”, „Stajnia konia polskiego”) i kilka z zagranicy (równi goście z Dniepru). Wśród imprez towarzyszących – wystawa rysunków Henryka Sawki, wieczór autorski Jacka Federowicza, koncert piosenki kabaretowej oraz wykład Andrzeja Drawicza „*Humor a pierestrojka*”. ■ Po polskiej premierze *Dialogów karmelitanek* Bernanosa zobaczymy w bydgoskim Teatrze Polskim dramat poetycki Karola Wojtyły *Brat naszego Boga* w inscenizacji Andrzeja Marii Walczewskiego. Premiera odbyła się 12 IV. ■ W dniach 12-14 IV odbywały się Specjalne Przeglądy Filmowe z okazji X-lecia działalności Studia Filmowego im. Karola Irzykowskiego. 12 IV w kinie „Kultura” miał miejsce premierowy pokaz filmu Jana Jakuba Kolskiego *Pogrzeb kartofla*. ■ Od 19 do 25 IV w warszawskim kinie „Bajka” trwać będzie Tydzień Filmów Fińskich. Wśród siedmiu propozycji jest film Pekka Parikka *Wojna zimowa*, w ubiegłym roku nominowany do Oscara. ■ Claude Lesbats, dyrektor Instytutu Francuskiego w Warszawie, zaprasza 16 IV do kina „Skarpa” na polską premierę filmu Erica Barbiera *Le Brasier*. Po projekcji odbyło się spotkanie i kokałaj z reżyserem, odtwórcą głównej roli (Jean-Marc Barr) i producentem (Jean-Francois Lepetit). ■ *Środek Europy* – pod tym hasłem odbędą się prezentacje awangardowego kina i sztuki video z Austrii, Czechosłowacji, Polski i Węgier. Pokazy od 15 do 21 IV w Centrum Sztuki Współczesnej (Zamek Ujazdowski). ■ W Krakowie zorganizowano przegląd najświeższych ekranizacji oper. ■ Od 14 IV w repertuarze Teatru Wielkiego ponownie *Wesele Figara* Wolfganga Amadeusza Mozarta. Dyryguje Michael Zilm z Niemiec. ■ Od 11 IV trwają 7 Międzynarodowe Spotkania z Gitarą Klasyczną. W licznych koncertach wystąpiło wielu wykonawców światowej klasy (największym wydarzeniem było prawykonywanie koncertu na gitarę i orkiestrę Jorge Morela z Argentyny). W trakcie spotkań po raz szósty odbył się międzynarodowy konkurs gitarowy. ■ W dniach 22-27 kwietnia br. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim odbędzie się IV Tydzień Kultury Ukrainskiej. Swoją udział zapowiedzieli: Tadeusz Chrzanowski, Ryszard Łużyński, Włodzimierz Mokry, Bazyli Nazaruk, Bohdan Osadczuk, Włodzimierz Pańniewski, Mykoła Riabczuk, Władysław Serczyk, Jewhen Swerstiuk. Planowane są również koncerty, wystawy, przedstawienia teatralne. ■ Bestsellerzy tygodnia: absolutnym zwycięzcą jest *Krótką historią czasu – od wielkiego wybuchu do czarnych dziur* Stephena Hawkinga. Ponadto dobrze sprzedają się – *Imię róży* Umberto Eco, *Paragraf 22* Josepha Hellera, pierwsze dwie książki z nowej serii *Królowie przekleństwa* Maurice Druona, wszystkie książki z serii „Namiętności”. W księgarni „Optimus” dochodzą do głosu bardziej wyrafinowane gusta: *Konstancin* Mirona Białoszewskiego, *Tamte brzozy* Vladimira Nabokowa, *Proste pytania* Adama Michnika, poezje Achmatowej i Gumilowa. ■ Do informacji o „Tygodniku Solidarność” otrzymali Jarosław Klejnocki, Jacek Cieślak, Robert Bubel, Anna Radłowska i Maciej Muzyczuk. MM

[...] Dziesięć tysięcy powojennych polskich pisarzy mocowało się przez prawie pół wieku z przeklętym komunistycznym upiorem, oswajało go, cywilizowało, humanizowało, analizowało, rozpoznawało, rozgryzało, zmagalo go, strofowało, demaskowało, prowadziło z nim gorące dialogi. Nic z tych zmagani nie wyszło tytanicznych, choć przecież uczestniczyli w nich wielcy twórcy literatury decydenckiej, kandydaci do Nagrody Nobla. Szpotańskiemu się przedziwnie udało. Jakim cudem? Znalazł stosowną metodę. Posłużył się drwiną. A metoda ta tylko dla wybranych. [...]

Drwiną operować może tylko ktoś, kto wie. Szpotański od początku swej drogi poetyckiej wiedział.

Ach, jak strasznie to było niemożliwe! Szpotański pojawił się na scenie publicznej w samym środku rządów Gomulki. Jakież panowały wtedy w literaturze polskiej gusty? Wielka moda na „twórczy niepokój”. Twórcy, przeczytawszy w referacie Jankowskiego, że Stalin nie był największym filozofem wszystkich czasów, przeżywali duchową rozterkę. Coś drogiego brutalnie im odebrano. W ich duszach pozostało „puste miejsce”. Czym zastąpić utraconą wiarę? Jeden pociesza się wczesnym Leninem. Drugi znajduje ukojenie we wczesnym Marksie. Trzeciego przed wpaściem w sidła antykomunizmu ratuje pamięć czarnej międzywojennej nocy, gdy to groźny dyktator Piłsudski faszyzował państwo polskich panów, czwarty kacza po drobnych wypaczeniach leczyl widokiem nieszczęśliwej Ameryki zniewolonej przez bożka konsumpcji.

przegląd zagraniczny

W Berlinie w Martin-Gropius-Bau do 28 IV czynna jest pierwsza europejska wystawa jednej z najważniejszych kolekcji sztuki niemieckiej. Obejmuje ekspresjonizm i realizm niemiecki, m.in. prace Beckmanna, Pechsteina, Kirchnera. ■ W Kunsthalle w Monachium do 30 IV będzie trwała wystawa Marca Chagalla. Retrospektywa obejmuje 120 obrazów olejnych i gwaszy z okresu pobytu w Rosji, z okresu paryskiego (1914-41), z okresu podróży po Ameryce (1941-46) i z Prowansji (1949). ■ Do 14 IV czynna jest w Barcelonie w Fundacji Joana Miro wystawa jednego z najwybitniejszych współczesnych malarzy hiszpańskich – Antonio Tapiasa. Jest to zbiór prac z lat 1946-90: obrazy olejne, prace na papierze, rzeźby, collages, ekspresyjne, z pojawiającymi się motywami krzyża. ■ „Ogień pod świat podłożę” to tytuł artykułu zamieszczonego w „Der Spiegel”, (8/91), w którym autor przedstawia sylwetki uczestników radykalnego ruchu Międzynarodówki Sytuacji – stycznej. Galerie zabiegają o prace jego uczestników, rosną ich ceny, krytycy poświęcają im coraz więcej uwagi. Na czerwonych ulotkach grupa SPUR – członek SI (Situationalistischer Internationale) – protestowała przed trzydziestu laty przeciwko szczęściu, przeciwko zadowoleniu, przeciwko spokojowi sumienia. Niejasne są związki SI z ówczesnymi ruchami terrorystycznymi (RAF). Guy Debord – ideolog SI – poszukiwał *Soli Ziemi*. „Ludzi, którzy są gotowi ogień pod świat podłożyć, żeby przydać mu więcej blasku.” Szczegółową historię SI można znaleźć w książce Roberto Ohrt *Phantom Avantgarde* (Edition Nouvelles: Verlag L. Schulenburg, Hamburg 1990). ■ „Agresywny, paradoksalny, kontestacyjny, jest stworzony przez fin de siècle i jakby dla fin de siècle”. Przez całe życie był permanentnym buntownikiem, który ciągle znieważał kulturę, który miał zawsze gorzkie słowa dla sztuki starożytnych Greków czy dla Renesansu. ... – pisze publicysta „Le Point” w recenzji retrospektywnej wystawy Dubuffeta zorganizowanej we Frankfurcie. Prawie czterysta dzieł tam eksponowanych ma świadczyć o skali jego talentu. Niektóre płótna, jak na przykład podziwiana od dawna *Czerwona krowa* nigdy nie były prezentowane na otwartych pokazach. Zaskakujący wydawać się może fakt, że Dubuffet nigdy nie czerpał ze spuścizny rodzimego francuskiego malarstwa, z wyjątkiem może Rousseau, a przecież – zdaniem „Le Point” – od czasów Matisse’a i Leger’a Francja nie miała artysty tego formatu. ■ W londyńskiej galerii „The Special Photographers Company” 10-27 IV czynna jest wystawa fotografii, grafik, obrazów, plakatów i okładek płyt związanych z postacią Boba Marleya (dziesiąta rocznica śmierci). Ekspozaty w du-

Nawet kilkanaście lat później, za schyłkowego Gierka, w czasach KOR, kiedy teksty Szpotańskiego pojawiły się już w podziemnych publikacjach, ideałem decydenckiej literatury były nadal dwugławy postępowego intelektualisty, miotanego przez huragan wątpliwości między Scyllą socjalistycznych niedostatków, a Charybdą międzywojennego Ciemnogrodu i zbliżającego się moźnolnie ku gigantycznemu odkryciu, iż w radzieckich obozach pracy przymusowej dochodziło do łamania praw człowieka.

(PIOTR WIERZBICKI, „Tygodnik Solidarność” nr 15)

[...] Problemu komunizmu nie należy traktować jako problemu winy i niewinności. Innymi słowy nie chodzi o to, żeby ktoś się bił w piersi, a ktoś inny wywyższał nad tego, który się bije w piersi. Chodzi o to, żebyśmy potrafili zanalizować naszą świadomość, społeczną świadomość i zobaczyli, jakie czynniki w tej świadomości są wynikiem socjalistycznej iluzji, a jakie są wynikiem naszego doświadczenia. Myśmy przeszli przez ogromne doświadczenia historyczne. Zapłaciliśmy za to ogromną cenę; nie tylko zabici, nie tylko więzieni, nie tylko polamane zyciorysy, ale także coś więcej. Myśmy ten socjalizm, komunizm, ten rodzaj neopogaństwa przepuścili przez nasze własne sumienia. I musimy dowiedzieć się, jak to daleko sięga, na czym to polega. Jest to nasz punkt wyjścia do Europy.

ks. prof. JÓZEF TISCHNER, „Tygodnik Solidarność” nr 15

żej mierze pochodzą z muzeum legendarnego śpiewaka reggae mieszcącego się na Jamajce. ■ W Theatre d'Atelier z dużym powodzeniem grana jest sztuka *The Go Master* (według noweli Yasunari Kawabaty) którą reżyseruje Jean Paul Lucet, a adaptacji dokonał Philippe Faure. „Elan” (5 IV) bardzo pochlebnie recenzując sztukę, przypomina historię powstania noweli. Redakcja tokijskiego dziennika posłała przyszłego noblistę (Nobel'68), aby obserwował turniej „Go” między największym z starych mistrzów a jego uczniem. Turniej stał się niezwykle widowiskiem, trwającym prawie pół roku, w którym na oczach widzów estetyczny styl gry, prezentowany przez starego mistrza, przegrywa z agresywną sprawnością przeciwnika. Po kilku latach Kawabata opowiedział historię ostatniej walki w noweli „The Go Master”, która w symboliczny sposób podejmuje główny temat całej jego twórczości – ustępowanie łagodnej, kochającej piękno i naturę Japonii przed wymogami nowych czasów. ■ „Rzemieślnikami kina” nazywa recenzent „Corriere della Sera” (25 III) Włochów nominowanych do Oscara, mając na myśli operatora (Vittorio Storaro – *Dick Tracy*), trzech scenografów (E. Frigerio – *Cyrano de Bergerac*, D. Ferretti i F. Lo Schiavo – *Hamlet*) i czterech autorów kostiumów (F. Squarciapino – *Cyrano*, E. Zamparelli – *Dances with Wolves*, M. Canonero – *Dick Tracy*, M. Millenotti – *Hamlet*). Błędem byłoby twierdzić, że praca tych ludzi służy jedynie szacie zewnętrznej filmu, jest jego opakowaniem. Nie pomniejszając wagi reżyserii, trzeba przyznać, że wkład współpracowników artystycznych jest niezwykle ważny, a często rozstrzygający. Faktem jest również, że włoscy specjaliści coraz częściej ściągani są do USA” – stwierdza w artykule. ■ Z okazji 200 rocznicy śmierci Mozarta w Salzburgu zebrano pamiątki z całego życia kompozytora, niektóre wcześniej nie prezentowane, np. listy, obszerną kolekcję portretów jego i rodziny. Ostatnia część wystawy poświęcona jest *Requiem*. Związujący mają dostęp do komputerów, na których mogą sprawdzać swoje zdolności kompozytorskie. ■ Musiques et Recherches i Theatre Europeen de Musique Vivante, prowadzony przez Piotra Lacheta zorganizował w Belgii Konkurs dla pianistów grających muzykę współczesną (3-7 IV) pt. „New Music For New Pianist.” Podczas konkursu wykonywano utwory napisane po roku 1960. Konkurs ten jest jednym z niewielu, który zajmuje się tak młodą muzyką. ■ Pomiędzy 6 a 12 IV odbył się jeden z najbardziej znanych festiwali jugosłowiańskich XVI Muzicki Biennale Zagreb. W programie wykonanie klasyki XX w. oraz najnowszych kompozycji m.in. Schoenberg, Xenakis, Lachenmann, Cage, Seelsi, Kurtag, Malec, Ligeti przez znanych artystów jugosłowiańskich. ■ Od 4 IV do 6 IV w Bolonii miały miejsce 28 Targi Książek dla Dzieci, na których zaprezentowało się 1195 wydawnictw. Isabella Bossi Fedrigotti, korespondentka „Corriere della Sera”, po obejrzeniu ekspozycji, stwierdziła, że: „Książka dla dzieci nie jest już książką, czyli pewną ilością stron zapisanych lub ilustrowanych, do przekartkowania, przejrzenia, przeczytania, a potem do odłożenia na półkę.” Jej zdaniem książka dla dzieci przypomina (lub jest) wszystko – zabawkę, kwiat, sześcian, trąbkę – i ma za zadanie przyciągnąć uwagę dzieci pięknymi kolorami i dwiema wymiarami kształtami. Z rozmowy, jaką przeprowadziła po obejrzeniu tych książek z dyrektorem jednej z księgarni wynika, że kiedy dzieci same wybierają książki ich uwaga skupiona jest na tych, które przypominają książki dla dorosłych. (Kieszonkowych, poręcznych i niedrogich). Uznał on również za ważne istnienie tygodników i miesięczników, zwłaszcza w różnych wersjach językowych, skierowanych do małych czytelników.

Na koniec prezentujemy światowe listy bestsellerów DER SPIEGEL (8 IV): 1) Groult *Salz auf unsere Haut* (Sól na naszej skórze) 2) Pilcher *September* (Wrzesień), 3) Follett *Die Säulen der Erde* (Filary ziemi), 4) Suskind *Das Parfum* (Pachnidło), 5) Janosch *Polski Blues*, 6) Puzo *Dziwne K.* (Czwarty K.), 7) Scholl-Latour *Das Schwert des Islam* (Miecz Islamu), 8) Magnani *Eine italienische Familie* (Rodzina włoska), 9) Salinger/Laurent *Krieg am Golf* (Wojna w Zatoce).

LA STAMPA (6 IV). 1) De Crescenzo *Helena*, *Helena moja miłość*, 2) Lynch *Intymny dziennik Laury Palmer*, 3) W. Smith *Poszukiwacz diamentów* (10) M. Blake (*Tańczący z wilkami*).

THE NEW TIMES BOOK REVIEW (3 III) Fiction: 1) D. Steel *Heartbeat* (Bicie serca), 2) D. R. Koontz *Cold fire* (Zimny ogień), 3) La V. Spencer *Forgiving* (Przebaczenie); Nonfiction: 1) R. Bly *Iron John* (Żelazny John), 2) D. Vergin *The prize* (Cena), 3) G. C. Ward, R. i K. Burns *The civil war* (Wojna secesyjna).

PAPERBACK BESTSELLERS Fiction: 1) T. Harris *The silence of the lambs* (Milczenie owiec), 2) M. Blake *Dances with wolves* (Tańczący z wilkami), 3) J. A. Michener *Caribbean* (Karaiby); Nonfiction: 1-7) książki na temat wojny w Zatoce, ciekawsze tytuły: B. Mahmoodi i W. Hoffer *Not without my daughter* (Tylko z moją córką) (4), D. Fromkin *A peace to end all peace* (Pokój, który zakończy wszelki pokój) (5).

Dante
Alighieri

Boska Komedia

Piekło pieśń I

przełożył
Jarosław Mikołajewski



WILLIAM BLAKE, Piekło Canto 19

W połowie wędrówki żywota naszego
znalazłem się w mrocznej gęstwinie, albowiem
po drodze ze szlaku zboczyłem prostego.

Tak była okrutna, że aż nie wypowiem,
gęstwina tak gęsta, ponura i dzika,
na której wspomnienie przejmuje mnie mrowie;

niewiele śmierć głębszą goryczą przenika.
Lecz chcąc wyznać dobro, które tam przeżyłem,
wpierw powiem, co jeszcze mi pamięć wytyka.

Dziś sam nie pamiętam, jak w lesie zbłądziłem,
tak wielki był ciężar mojego znużenia,
że drogę wiodącą do celu zgubiłem.

Lecz kiedy dotarłem do tego wzniesienia
co kres kładło właśnie przebytej dolinie,
przez którą w moim sercu tkwił cierń przerażenia,

spojrzałem na górę, a tam na wyżynie
jej barki już w blask ubierała ta sfera,
co wiedzie każdego po pewnej ścieżynie.

Ujrawszy ją, czułem jak wreszcie zamiera
ten strach, co w mojego trwał serca jeziorze
i który noc całą mi ulgę odbierał.

Jak ktoś, kto umknąwszy przed straszliwym morzem
na brzeg, dysząc ciężko chce spojrzeć z daleka
na wody odmęty, tak samo w pokorze

mój duch, co przed siebie nie przestał uciekać,
odwrócił się tak, że granicę ujrzałem
dotychczas zamkniętą przed stopą człowieka.

Kiedy po spoczynku ciało poderwałem
do trudnej wspinaczki po pustynnym stoku,
na niżej stawianej je stopie wspierałem.

I ledwie ruszyłem, do dalszych mnie kroków
zniechęcił ryś zwinny, przebiegły i żwawy,
cętkami pokryty na grzbiecie i boku.

Nieskore ustąpić, bym trudy przeprawy
mógł podjąć, to zwierzę tak mnie przestraszyło,
że prawie już chciałem zaniechać wyprawy.

Nastąpi jutrenka i słońce wschodziło,
wraz z nim świta planet pod niebo się wzbija,
podobnie jak w chwili, gdy Boża je miłość

z ich pięknem na samym początku stworzyła;
że więc w obecności bestii cętkowanej
jestem bezpieczny, dobrze mi wróżyła

godzina i pora przez Boga wybrane;
lecz wkrótce zgasło nadzieję nietrwałą
lwa pojawienie się niespodziewane.

Przybliżał się do mnie, tak mi się zdawało,
z łbem podniesionym, tak wściekle łaknący,
iż rzekłbyś powietrze wokół niego drżało.

Tuż za nim wychudła wilczyca, pragnąca
rozpusty i wiecznie występku niesyta,
przez którą wciąż więcej jest istot cierpiących,

tak grozę miotając oczami z granitu,
aż rozpacz w me serce wstąpiła strasliwa
i wiarę straciłem, że dotrę do szczytu.

Jak ktoś, kto grać lubi, bo lubi wygrywać,
gdy w końcu dopada go klęski godzina
wciąż w myślach rozpacza i męki przeżywa,

w tym stanie ja byłem, gdy chyża gadzina
nastając spychała mnie poza urwisko
doliny, co słońce w milczeniu zaklina.

I kiedy już miałem osunąć się nisko,
pojawił się nagle pod moim spojrzeniem
ktoś nikły w tej ciszy, choć całkiem był blisko.

Ujrawszy na takim bezludziu istnienie,
natychmiast błaganie ku niemu zwróciłem:
„Miej litość, czy jesteś człowiekiem czy cieniem!”

„Człowiekiem nie jestem, choć kiedyś nim byłem,
oboje rodzice Mantuańczykami,
z Lombardii więc byli, ja również tam żyłem

sub Iulio, choć krótko pod jego rządami,
najdłużej zaś w Rzymie dobrego Augusta,
gdy przed fałszywymi klękano bogami.

Tam byłem poetą, sławiły me usta
potomka Anchizy, co przybył tu z włości
Elionu gdy w popiół spaliła się pusta

potęgą trojańska. Lecz czemu w ciemności
powracasz objęcia? Nie wchodzisz na owy
szczyt góry, co racją jest wszelkiej radości?”

„Więc tyś jest Wergiliusz, to źródło co mowy
wciąż jeszcze wezbraną przetacza się wstęgą?”
odrzekłem, ze wstydu nie unosząc głowy.

„O ty, coś poetów jest światłem, potęgą,
miej wzgląd na mą miłość i trud długotrwałą,
przez które nad twoją chyliłem się księgą.

Tyś mistrzem, wyrocznią, a styl twój wspaniały
jedynym dla stylu mojego jest wzorem.
i on dzięki tobie przyczynia mi chwałę.

Czy widzisz, przed jakim uciekam powtorem?
Ach, spiesz, mędrze sławny, od bestii mnie zbawić,
już drżą mi tętnice ze strachu przed stworem”.

„Winienes się innym przesmykiem przepawić”,
powiedział ujrawszy w mych oczach leż źródło,
„jeżeli chcesz siebie z tej dzicy wybawić;

to zwierzę, przez które przelewasz lzy swoje,
zabrania swą drogą przechodzić podróżnym
i o ten swój zakaz na śmierć toczy boje;

a duch w niej tak podły, nikczemny i próżny,
że nieustający jej głód po jedzeniu
nie znika, lecz jeszcze się wzmacnia. Z nią różne

zwierzęta się parzą i ofiar kuszenia
gadziny przybywać wciąż będzie latami,
aż chart jej zgotuje konanie w cierpieniach.

Nie ziemia i cyna mu będą stawami,
lecz mądrość i miłość, on cnotę doceni,
ojczyznę mieć będzie pomiędzy Feltrami.

Niedolę pokornej Italii odmieni,
dla której z Turnusem Camilla skonała
i Nisos z Euryalem śmiertelnie zranieni.

Choć będzie schronienia po świecie szukała,
on zewsząd do piekła ją znowu zagoni,
skąd przedtem ją zawiść na ziemię wygnała.

Dla swego więc dobra winienes się skłonić
do marszu w ślad za mną, a ja przewodnikiem
tym będąc, do wiecznych cię wwiode ustroni;

tam poznasz wołanie co miesza się z rykiem,
zobaczysz cierpiące starożytnych dusze,
o drugą śmierć wielkim wołające krzykiem;

i ujrzysz tych, którzy ognistą katuszą
radują się wierząc, że kiedyś wszak zostac
wliczeni w zastępy wybawionych muszą.

Wśród które jeżeli zapragniesz się dostać,
godniejsza istota tam lepiej się nada
by ciebie prowadzić; tam przyjdzie się rozstać

gdyż woła cesarza, który w górze włada
i widział, zem wobec praw Jego pobłądził,
na swoich dziedzińcach mnie ujrzyć nierada.

On wszędzie jest Panem, lecz tam właśnie rządzi;
tam jest Jego miasto i tam jest tron Jego:
szczęśliwy, któremu to miejsce zasądzi!”

„Poeto”, odrzekłem, „przez Boga, którego
nie znależ, spraw żebyś od zła się wybawił
i żebyś uniknął zła jeszcze większego,

zaprowadź mnie w miejsca, co właśnie wystawił,
bym stanął, gdzie piętrzy się brama Piotrowa,
bym poznał też cienie, co gorzko przedstawił”.

On wówczas iść zaczął, ja za nim bez słowa.

Nigdy nie wróciłam do domu

dokończenie ze s. 1

się przed samochodem, który mógł go zabić. A ludzie w komorach gazowych drapali się w górę... Jedni po drugich... Zdawało im się, że na dole jest najgorzej...

W książce swojej pisze pani, że strach jest związany z bezbronnością.

Tak, oczywiście.

Czy nie jest tak, że wobec śmierci zawsze jesteśmy bezbronni?

Nie, nie. Nikt z nas nie myśli o śmierci ze strachem, mimo że wie, że ma umrzeć. Poza tym człowiek chyba bardziej niż samej śmierci boi się długiego umierania. Boi się tortur, bał się tej drogi, która wiodła do śmierci. A jeżeli jest się uzbrojonym, to znaczy, że zginie się natychmiast. Wtedy, kiedy prowadziłam Marka ulicą, spytałam go, czy ma broń. Bo to było jasne, że jeżeli nas złapią, to Marek wyciągnie broń, zabije kogoś, i oni zabiją nas. I koniec! I nie grozi nam Szucha, bicie, tortury, to długie umieranie. Dlaczego chorzy na raka błagają, by im skrócić niepotrzebną mękę umierania?

Pisze pani, że poznała strach przed śmiercią dopiero po jakimś czasie. Kiedy gestapowiec przystawił pani pistolet do skroni, nie odczuwała pani strachu.

Tak, w takich ostatecznych momentach nie ma już strachu. To było tak, jakby to już się stało. Jakbym już była po drugiej stronie. A bałam się bardzo, kiedy niosłam pod bluzką pieniądze dla naszych podopiecznych i mijałam patroli. Jak wreszcie doszłam do domu, to te pieniądze były zupełnie mokre.

Ale wtedy bała się pani, by jej nie aresztowano. To nie był strach przed śmiercią.

Proszę pani, to bardzo trudno odróżnić. Wolalam mieć przy sobie cjanek, by móc nie dojść na Szuchę. To dzisiaj, tu, przy herbacie, możemy sobie spokojnie analizować. A to był po prostu strach, bałam się. Na pewno był to bardziej strach przed sposobem umierania, przed tym wszystkim, co może być przedtem, niż przed samą śmiercią. Człowiek zagrożony śmiercią nie myśli precyzyjnie, czego się boi – są w nim dwie myśli: strach i chęć ratowania życia, często wsparta instynktem. Ci, którzy skakali z pociągu jadącego do Treblinki – po prostu ratowali swoje życie.

Czy pani sądzi, że wiara może „zabezpieczyć” człowieka przed strachem? Czy pani wierzy w Boga?

Nie umiem pani jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Wtedy Boga tu nie było. To bardzo trudne pytanie. Czy Go nie ma? Nie wiem. Wtedy na pewno zakrył twarz, jeżeli nawet był... Stchórzył.

Bóg może stchórzyć?

W tych moich wspomnieniach występuje taka kobieta o imieniu Janina. Ona miała trzech synów. W tym czasie jeden był w Anglii, w RAFie, drugi był w Oświęcimiu, a trzeci, siedemnastoletni, był z nią. On był w konspiracji, bardzo zaangażowany. Zresztą był to, zdaje się, ONRwiec. No i wpadł w jakiejś łapance, znalazł się w Kripo. Dzięki naszym kontaktom udało się go wyciągnąć. Niedługo potem zginął – na ulicy, z bronią w ręku, w akcji. Pani Plewczyńska była osobą niesłychanie religijną. Dom był pełen świętych obrazów. To, co dla nas robiła, a robiła bardzo dużo, wynikało z jej pojęcia etyki chrześcijańskiej. Poszłyśmy do niej z Marysią, kiedy dowiedziałyśmy się o śmierci jej syna. Zobaczyłyśmy ją przed obrazem Czarnej Madonny. Ona jej wymyślała: – To jest wszystko kłamstwo, Ty nie jesteś Matką! Nie pozwolilibyś, gdybyś była Matką! Ale Janina nie przestała być wierzącą.

Tak, takie wymyślanie to bardzo ludzka rozmowa z Bogiem.

Myślę, że jest wielu Żydów nie mających nic wspólnego z obrządkiem, ale nie można powiedzieć, by byli niewierzący.

dokończenie na s. 5

Samuel Willenberg – Żyd urodzony w Częstochowie. Ranny w kampanii wrześniowej 1939 roku, więzień obozu zagłady w Treblince. Po ucieczce, żołnierz AK walczący w Powstaniu Warszawskim. Współpracownik ICHUDu, współorganizator Ki-buców. Od 1950 roku obywatel Izraela, mieszkaniec Jerozolimy.

Samuel Willenberg

Droga w nieznane

[...] – Co tutaj się dzieje? Gdzie ja jestem? *

Odpowiedział:

– Ty nie wiesz, gdzie ty jesteś?

– Ja się domyślam, bo gdy byłem po aryjskiej stronie...

– Ty byłeś po aryjskiej stronie?

– Tak, byłem, co prawda zaledwie kilka dni. Jeździłem pociągami po Polsce w różnych kierunkach. Szukałem bezpiecznego miejsca dla mojej rodziny. Niestety, w tym czasie zostały aresztowane moje siostry, a ja nie miałem już co dłużej podróżować, a więc powróciłem do Opatowa.

Spojrzał na mnie obserwując mnie bacznie:

– Samek, ty jesteś w obozie śmierci Treblinka.

Potworne myśli przelatywały przez mój umysł lotem błyskawicy. To znaczy, że to wszystko, co słyszałem po aryjskiej stronie i w co nie chcieliśmy wierzyć, jest prawdą. To wszystko, co słyszeliśmy po aryjskiej stronie ironicznie opowiadane przez Polaków, że Żydzi jadą na mydło i że się ich gazuje. To wszystko, w co nie chcieliśmy dotychczas wierzyć, miało być prawdą. To znaczy, że małe dzieci polskie, które stały wzdłuż toru, którym przejeżdżaliśmy, wykrzykując „Żydzi na mydło”, wiedziały więcej, niż myśmy wiedzieli i niż myśmy wiedzieć chcieli.

– To jest niemożliwe! Ja w to nie wierzę!

– Samek, ja przez pierwsze kilka dni też nie wierzyłem.

Wyciągnął spod koców dużą parę butów, którą zalażyłem na boscie nogi. Przeszliśmy z Alfredem przez pusty plac. Weszliśmy z powrotem na peron. Spotkaliśmy tutaj grupę ludzi dziwnie poubieranych. Wszyscy piątkami kierowali się w stronę kuchni. Dołączyliśmy się do nich i maszerowaliśmy wraz z nimi w stronę bramy, która prowadziła z peronu do lasu. W lesie były porozrzucane jak gdyby baraki. Doszliśmy do jednego z nich, który okazał się kuchnią. Obiad składał się z gęstej, smacznej zupy. Stwierdziłem ze zdziwieniem, że jedzenie jest tutaj lepsze niż to, którym się żywiłem w getcie. Nie rozumiałem wtedy jeszcze, że Żydzi z różnych krajów przywożą najlepsze produkty żywnościowe. Napotykało się tutaj specjalty gastronomiczne różnych narodów. Pozostawało to po nich na placu transportowym wtedy, gdy oni już nie żyli, uśmierceni w komorach gazowych. Te produkty zostały zmagazynowane. Tym karmili nas Niemcy. Trzymałem w ręku łyżkę pełną farfelek, zro-

* Powyższy tekst jest fragmentem książki Samuela Willenberga *Bunt w Treblince* która ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa „Res Publica”.

Redakcja pragnie podziękować Autorowi za łaskawą zgodę druku tego fragmentu w „TL”.

Tytuł fragmentu pochodzi od Redakcji

bionych troskliwą ręką jakiejś kobiety, być może za ostatnie grosze. Pełne tłuszczu i jajek, aby były jak najbardziej pożywne i aby dzięki ich bogatej zawartości można było dłużej wegetować gdzieś na Wschodzie. Wszystko to wyladowano w Treblince. Alfred zapoznał mnie z łódzkim Żydem, inżynierem, który był kapo baukomando¹ i blokowym baraku, w którym mieszkał Böhm. Mój kolega starał się, abym został skierowany do tego samego baraku. Udało mu się to załatwić bez żadnego problemu. Byłem zadowolony, że jesteśmy razem. Przez następne pół dnia pomagałem w kuchni. Apel wieczorny odbywał się na szerszej części peronu, pomiędzy torem kolejowym a żywopłotem z wplecionych w płot gałęzi sosny. Staliśmy tyłem do parkanu. Po prawej naszej stronie mieliśmy barak, który jakby nikł w lesie. Po lewej stronie barak ciągnął się wzdłuż peronu. Esemani stali na peronie wzdłuż torów. Po obliczeniu nas przez esesmanów zostaliśmy otoczeni wartownikami w czarnych mundurach z trupimi czaszkami na furazerkach. Byli to Ukraińcy. Kierowali nas do kuchni na kolację. Po drodze Alfred pouczał mnie wręczając mi manierkę, abym starał się zdobyć jak największą ilość kawy. Tłumaczył mi, że woda jest problemem w Treblince, gdyż jest tutaj tylko jedno studnia. Dlatego na miejscu należy pić tylko trochę, a resztę należy zabrać ze sobą na później. Baumaister gwizdkiem nawołuje do ustawienia się piątkami przy kuchni. Wachmani otaczają nas trzymając w rękach nabite karabiny. Przeszedłszy kawałek lasu i parę zabudowań, wychodzimy znów na ten sam peron. Mijając go, wchodzimy na plac transportowy. I znów znajduję się w tym samym baraku, z którego okna tyle widziałem i którego teraz stałem się mieszkańcem. Przechodząc obok baumaistra zapytałem, czy wciągnął mnie na listę więźniów. Przypominam, że zostałem wyjęty z transportu jako murarz. Spojrzał na mnie z drwiącym uśmiechem.

– Murarz? Na co, po co, dla kogo? Jesteś naiwny, nie potrzeba tutaj murarzy i ich tu nie ma. Tutaj w ogóle nie ma nic. Tu nie ma życia. Ty jesteś w najbardziej zaszranym obozie, jaki istnieje. Tutaj dziś nie wiesz, czy dożyjesz jutra. Tutaj żadnych list nie ma. Jesteś w Treblince. Zwróć uwagę, nie obcięto nam włosów. Nikogo to nie interesuje. Bo to nie jest obóz pracy ani obóz koncentracyjny. To jest po prostu jedna wielka likwidacja narodu i nikogo tu nie obchodzi, jak wyglądasz, bo nieważne, czy zakatrupią cię z włosami, czy bez. Na pewno chcesz wiedzieć, jak my tutaj istniejemy, chętnie ci to wytłumaczę.

Dwa tygodnie temu przyjechałem tutaj z Częstochowy wraz z całym transportem. Krótko przed naszym przybyciem Niemcy rozstrzelali większość więźniów, którzy do tego czasu trudnili się sortowaniem odzieży po zamordowanych.

Z naszego transportu wyciągnięto dużą grupę mężczyzn, aby uzupełnić brakującą ilość rąk do pracy. Z nas zorganizowali coś, co miało przypominać obóz, ale nie ludzi się. To nie jest to, na co wygląda. To jest olbrzymia fabryka śmierci. Dotychczas był tu bałagan, wariactwo, rozstrzeliwali, mordowali, gazowali, a teraz Niemcy zaprowadzili trochę porządku.

– To znaczy – przerwałem mu – że teraz likwiduje się składanie?

– Nazywaj to, jak chcesz. Dlatego jest tutaj dużo częstochowian, bo byli oni pierwszym transportem po masowej likwidacji więźniów takich samych jak my, których trzymano tu bardzo krótko. Tak samo i nas będą tu trzymać tylko przez bardzo krótki czas. Rozumiesz teraz, jak to wygląda. My jesteśmy tutaj dwa tygodnie. Jest to SS *Sonderkommando Treblinka*.²

Po udzieleniu mi tych zasadniczych informacji poklepał mnie, jakby chcąc mi w ten sposób dodać otuchy i poszedł dalej.

W baraku Alfred wskazał mi kolorowe bety. Powiedział mi, że ten, do którego one poprzednio należały i który na nich jeszcze wczoraj spał, dziś został zabity. Położyłem się na barwnej pościeli. Nagle cały barak oświetlony został migoczącymi małymi świeczkami, poprzipelanymi przez więźniów do drewnianych krzesełek. W ciągu dnia krzeselka schowane były wśród betów. Część mieszkańców baraku przygotowywała sobie nocne legowiska. Reszta, a ja dołączyłem się do nich, wyciągnęła puszki po konserwach, których górna część była wycięta w trzy trójkąty. Na te prowizoryczne kuchenki stawialiśmy garneczki aluminiowe, w które mnie również zaopatrzono. Do wnętrza puszek wrzucano kawałki świec i kulki z waty, które się zapalało. Po krótkim czasie zawartość garneczków, która na ogół składała się z farfelek, kakao, cukru i tłuszczu, zaczynała się gotować. (...) Patrząc na barwny barak. Na rozpostarte na ziemi bety. Na świeczki, które się palą na wysokości około czterdziestu centymetrów nad ziemią. Na porzucone na ziemi barwne szmaty noszone przez więźniów. W Treblince się nie pierze. Nie ma potrzeby. Jest zawsze wystarczająco dużo na zmianę. Bierze się ciągle nowe rzeczy z placu.

A w kącie, od reszty baraku oddzielona barwnymi pluszowymi narzutami mała przestrzeń służyła jako pomieszczenie dla komendanta obozu, Galewskiego⁴. Miał tam łóżko i mały stoliczek. Jego lokum było trochę większe od naszych pomieszczeń. Alfred Böhm był jego ordynansem. Galewski przyjechał również ze swoją rodziną z Częstochowy. Stał się tutaj komendantem zupełnie przypadkowo. Prawdopodobnie dzięki swojej potężnej, imponującej postaci i znajomości niemieckiego. Był to jeden z takich samych przypadków, jak i nasz, wyciągnięcia z transportu.

Powoli gasną świeczki. Moja ostatnia świeczka została zgaszona przez Alfreda. Wyglądało na to, że wszyscy zaczynają spać. Ja zasnąć nie mogłem. Nie mogłem zrozumieć, jak można w takich warunkach spać. Noc panowała jeszcze niepodzielnie, gdy głośny gwizd poderwał mnie z posłania. W baraku uczyniło się gwaro. Więźniowie szybko wstawali ze swoich barlogów. Ubierali się i szykowali do wyjścia. Każdy połykał spieszące resztki jedzenia, które pozostały z wczorajszej kolacji. Wyszliśmy na spowity jeszcze mrokami plac. Wachmani, którzy pilnowali baraku, pozwolili nam wejść do ubikacji. Latryna znajdowała się za barakiem i była ogrodzona parkanem z kolczastego drutu. Składała się z drewnianych belek tworzących rodzaj drabiny, z której dwóch stron ludzie kucając na chyboczących się belkach, pod którymi znajdował się głęboki dół pełen fekaliiów, spełniali swoje potrzeby w strachu, aby nie wpaść do śmierdzącej przepaści. Na

zewnątrz pilnowali nas wachmani. Zaczęło świtać. Stanęliśmy piątkami w szeregu przed barakiem. Inżynier, który był blokowym, sprawdzał, czy nikogo z nas nie brakuje. Meldował esesmanowi liczbę ludzi. Esesman liczył nas powtórnie, a po tym powtarzał słowo *cetele*, którego znaczenia początkowo nie rozumiałem. Wiedziałem tylko, że blokowy baumaister wtyka mu jakąś kartkę w rękę. Była na niej wypisana liczba więźniów.

Na rozkaz esesmana, otoczeni Ukrainkami z wymierzonymi w nas karabinami, pomaszerowaliśmy piątkami w stronę kuchni. Nasz barak zamieszkiwała grupa około stu pięćdziesięciu osób. W kolejce do otworu kuchennego, gdzie kucharze

czy nie ma w niej nic wszystkiego – klejnotów, złotych monet i papierowych banknotów.

– Nie wolno, aby z tego miejsca wyszła jakaś nazwa – pouczał mnie. – Stąd wszystko ma wyjść anonimowe, aby nikt się nie mógł zorientować, skąd pochodzą te zasrane łachy. Rozumiesz to dobrze, a teraz szybko do pracy, bo cię zdzielię pejczem.

Zdzielił mnie nim naprawdę, ale niegroźnie, nieboleśnie, tylko dla pucu. Jak na perskim rynku, jak straganiarze, którzy zachwatają swój towar na barwnych straganach, forarbaierowie i kapo zaczęli się drzeć i krzyczeć: – *Arbeiten, arbeiten! Schneller, schneller!* Ogromny plac rozbrzmiewał ich krzykiem. Wszyscy zaczęliśmy pracować jak obłąkani. (...)



JERZY ŻYŃSKI

wydawali kawę i gdzie leżały grube kromy chleba, miałem okazję spotkać mieszkańców innych baraków.

Wśród więźniów spotkałem sporo znajomych z Częstochowy. Po wodnistej kawie, pozbawionej jakiegokolwiek smaku, ustawiliśmy się znów piątkami wzdłuż bloku.

Z daleka usłyszeliśmy śpiew. Marszowe pieśni rosyjskie. Spoza drutów, zza lasu zbliżał się do nas zwarty w szeregu oddział, składający się z około pięćdziesięciu Ukraińców z karabinami na ramieniu. Komentator obozu i blokowi rozkazali nam wymaszerować w stronę peronu. Ukraińcy otoczyli nas ze wszystkich stron, a esesmani z pejczami w rękach i z rewolwerami u pasa uzupełniali naszą eskortę. Ruszyliśmy na peron. Tutaj znów stanęliśmy wzdłuż parkanu i każdy blokowy znów meldował liczbę swoich więźniów jakiemuś esesmanowi. Poznałem, że jest to ten sam, który mnie spytał na placu transportowym, czy jestem murarzem. Miał on, jak się o tym później dowiedziałem, przezwisko „Kiwe”. Potem ruszyliśmy w stronę ogromnego placu za barakiem, w którym mieszkaliśmy. Był on zapelniony ogromnymi stosami butów, rozrzuconej odzieży, walizek i plecaków. Rzeczy te tworzyły kolorowe góry sięgające około dziesięciu metrów wysokości. Dookoła tej sterty rozrzucone były tysiące otwartych walizek z zerwanymi zamkami i z nazwiskami ich właścicieli wypisanymi olejną farbą. Zostałem przydzielony forarbaierowi, Żydowi czeskiemu, który został przysłany z transportem z Terezina. On mi pokazał, co mam robić. Powiedział jedno słowo: – Sortuj. Znaczyło to, że z olbrzymiej sterty, którą miałem za sobą, wyciągałem okulary, łyżki, maszyny do golenia, zegarki, papierosnice i inne drobne rzeczy osobistego użytku. Trzeba było każdą rzecz włożyć do innej walizki. Odzież osobistą, obuwie i pościel kładliśmy również oddzielnie na placu na rozłożonych, kolorowych kapach. Każdą rzecz, którą brało się do ręki, trzeba było dokładnie przeszukać. Obmacać każdą szmatę,

Wśród krzyków i nawoływań forarbaierów słyszemy gwizdek. Wchodzi esesman „Kiwe”. Po paru minutach rozlega się gwizd lokomotywy. Dolatują do nas odgłosy zbliżającego się pociągu. Przyjechał nowy transport. Jest godzina siódma rano. Pociągu nie widzimy, bo jesteśmy odgródnieni od niego parkanem i długim barakiem. Ludzie wychodzą z wagonów popędzani przez esesmanów. Słyszemy krzyki i płacze. Wzajemne nawoływania. Nagle na plac wylatują nadzy ludzie, tacy sami jak ci, których widziałem, kiedy wyjęto ich z mojego transportu. Spełniają oni teraz tę samą co tamci funkcję. Oczyszczają plac z odzieży i paczek. Przynoszą ją nam na sterty, pod którymi stoimy i sortujemy. Oczyszczają w ten sposób szybko plac. Znów esesmani okładają ich pejczami i nawołują do szybkiego biegu: – *Schnell! Schnell!* Tak pędzą ci biedni ludzie, którzy przed śmiercią są jeszcze bardziej maltretowani od innych. Mają zatrzeć wszelkie ślady tego, co się tutaj działo. Aby plac był pusty, aby pułapka mogła nadal sprawnie funkcjonować. Aby ci, którzy przyjadą z następnym transportem, niczego się nie domyślali. Aby był normalny, czysty, uporządkowany plac transportowy. Tylko z daleka dolatuje nas warkot motoru. Pytam, co to jest. Tłumaczy mi: – Teraz gazują ludzi. Po prostu ordynarnie gazują ich. Na końcu placu – sortowni znajdował się mały teren w kształcie prostokąta. Przylegał do wału piachu oddzielającego nasz plac od obozu śmierci. Ogródniony był takim samym żywopłotem z wyschniętych gałęzi jak reszta obozu. Nad furtką powiewała flaga Czerwonego Krzyża.

Forarbaier rozkazał mi, abym zebrał pozbierane w czasie sortowania odzieży papiery, zdjęcia, dokumenty i zaniósł to wszystko w stronę zielono-brązowego parkanu z flagą Czerwonego Krzyża. Ruszyłem z paczką papierów zawiązaną w prześcieradło. Doszedłem do furtki

w żywopłocie. Znalazłem się w małym przejściu. Przede mną był znów parkan zagrażający mi drogę i zasłaniający dalszy teren. Skręciłem w jedną wolną przestrzeń na lewo i znalazłem się w małym pokoiku obwieszonym czerwonymi pluszowymi kapami. Pod ścianami były ustawione ławki obite czerwonymi pluszowymi kołdrami. Siedzieli na nich starcy i kaleki. Kapo w białym fartuchu, z opaską Czerwonego Krzyża na ręku, prosił grzecznie siedzących, aby się rozebrali, gdyż będą badani przez lekarza. Po tym, gdy to powiedział, ludzie jak gdyby nabrali otuchy. Zaczęli opowiadać o swoich dolegliwościach w różnych językach. Powolnymi ruchami, przy pomocy więźnia „Kota” rozbierali się. Spod zdjętej garderoby wylaniały się starcze nagie ciała dygoczące z zimna. Gdy kapo zauważył, że przyglądam się uporczywie temu, co się tu odbywa, rozkazał mi wyjść na zewnątrz drzwiami znajdującymi się po mojej prawej stronie. Znów natknąłem się na zasłaniający mi drogę żywopłot. Aby go ominąć, skierowałem się na lewo. Znalazłem się nagle na platformie z piachu. Siedział na niej na małym krzesełku Ukrainiec. Pod platformą, w dole, piętrzył się stos nie dopalonych trupów. Przerażenie odebrało mi na chwilę możliwość poruszania się. Stałem obezwładniony. Brunatne, na wpół zwęglone ciała skwierczały i kurczyły się. Płomień skakał po nich i wybuchał jasnymi językami, gasł nagle i wypuszczał ku górze drobny kłębek dymu. To znów pełzał gazowym ognikiem, obejmując trupy i drzewo jakąś szatańską pieczęcią. Gdzieś tam jeszcze rozróżnić można było wielkie torsy dorosłych mężczyzn, drobniejsze kadłuby kobiet i małe ciała dzieci. Nad wszystkim unosił się gryzący, ostry swąd spalenizny, wciskający się w nozdrza i wyciskający z oczu łzy. Rzuciłem naręcz przyniesionych papierów możliwie jak najdalej od siebie i odwróciłem się, by uciec z tego piekła. W tym momencie na platformę, która uniosła się nade mną na wysokości około 3-4 metrów, weszli czwórkami, chwiejnym krokiem starcy. Zobaczyli nagle to samo, co ja widziałem z dołu. Zrozumieli, że wciągnięto ich w zasadzkę. Zaczęli się nieszczęśliwi szamotać na tyle, na ile im pozwalały ich starcze siły. Porozbiegali się we wszystkie strony malej rampy. Strzał w głowę oddany przez Ukrainca po tym, gdy pełnął ich w stronę krawędzi rampy, kończył ich żywot. Tych, którzy byli zupełnie zniedołężniali, sadzano na krawędzi rampy i w ten sam sposób likwidowano. Staczali się brocząc krwią w dół, gdzie się już piętrzył płonący stos ludzkich ciał. Wstrząśnięty tym, co widziałem, wdrapałem się po piasku na górę. Gdy znalazłem się za upstrzonym gałązkami parkanem, zauważyłem z boku niewinny napis – „Lazaret”.

Po wieczornym apelu, który odbył się na peronie, poszliśmy na kolację do kuchni. I znów, jak wczoraj, powróciliśmy do migotliwych świeczek naszego baraku.

W upalny dzień jesienny, stojąc pod ogromną stertą odzieży, która została tu rzucona, sortuję znów szmaty. Ciągłe sprawdzam, czy przypadkiem nie zostało tam wszyte złoto. Wypruwam nazwy i monogramy. Forarbaier krzyczy jak opętany i rozglądając się po placu ostrzega nas swoim nawoływaniem przed zbliżającymi się esesmanami. Dzień za dniem przechodzi mi na sortowaniu odzieży. Stale napotykam nowe zdjęcia. Nowe twarze, które już nie istnieją. Wyjmuję zaszyte złote świnki, ruble i dolary. Zwyczajnie papierki, brylanty i różne skarby, które rodziny przechowywały przez dziesiątki pokoleń. Teraz to wszystko znalazło się na tym wyjąłowym kawałku ziemi, gdzieś pod Warszawą, w Treblince.

Podchodzi do mnie tak zwany Gold-

dokończenie na str 12

Nigdy nie wróciłam do domu

dokończenie ze s. 4

Ludzie często przypominają sobie, jak bardzo są ludzcy; mówią o byciu Człowiekiem w nieludzkich warunkach. Mówiłyśmy o wierze, która tak bardzo potrafi człowieka godnym czynić. Czy mogłybyśmy pomówić o odwrotności tego, co nazywamy godnym życiem, hyciem Człowiekiem, o granicy człowieczeństwa? Czy człowiek w swoim zachowaniu może przestać być ludzki? Czy pani godzi się na takie zdanie, że człowiek może przestać być Człowiekiem, zaczyna być zwierzęcy, czy wręcz staje się zwierzęciem?

Kiedy myślę o muzułmaninie, to sądzę, że muzułmanin nie przestaje być człowiekiem, on po prostu przestaje istnieć. A Niemcy? Są dla mnie zagadką. Z tym swoim najgłębiej zakodowanym pojęciem rozkazu, karności oni byli w stanie zrobić wszystko. Czy oni byli ludźmi? Może to ich okrucieństwo to też ludzka cecha? Przecież nasze doświadczenia, historia, dowodzą, że takie zachowania istnieją w ludzkim wymiarze. Widocznie w człowieku istnieje takie zło, Szatan. Już w Starym Testamencie czytamy o okrucieństwie najokrutniejszym.

Powtórzę zatem raz jeszcze swoje ostatnie pytanie – czy człowiek może przestać być człowiekiem?

Ja widziałam matki, które ze strachu porzucały dzieci. Bo myślały, że bez dzieci przejdą. Może pani to sobie wyobrazić? To jest dno, ostatnie dno człowieczeństwa. Do tego doprowadzał strach.

Czyli – nie?

Czyli – nie. Ale okrucieństwo człowiecze jest gorsze niż zwierzęce. Zwierzę nie zabija dla przyjemności.

Czy pani, jako lekarz, opowiada się za eutanazją?

Tylko w jednym wypadku. Kiedy człowiek cierpi potwornie i nie ma już dla niego żadnej nadziei.

Czy człowiek, lekarz, jest w stanie zadecydować, „że nie ma już żadnej nadziei”?

Ja uważam, że nie należy mechanicznie przedłużać życia, którego już nie ma, życia człowieka, który już umarł praktycznie.

Umarł „duchowo”, tak? Mówi pani o sytuacji, kiedy człowiek jedynie biologicznie istnieje?

Tak, a do tego odczuwa straszliwe cierpienie. Ale z drugiej strony, uważam, że nie można zgodzić się na prawo do eutanazji, bo mogą być nadużycia. Natomiast człowiek ma prawo wyrokować o swoim życiu.

Czy rzeczywiście?

Jeżeli wie, że nie ma żadnej nadziei, a cierpi nieludzko...

Skąd można wiedzieć, że nie ma żadnej nadziei?

Proszę pani, odwołujemy się do tego, co wiedza medyczna mówi nam na ten temat.

Czy człowiek ma prawo do samobójstwa, wobec tego?

Oczywiście! Jest to prawo każdego człowieka.

Ale przecież zawsze jest jakaś szansa. Przypomina mi się to, co Marek powiedział o samobójstwie na Milej. Przecież kilku się z tego bunkra uratowało.

Nie zawsze jest szansa. Czasem jej już nie ma... A kwestia bunkra? Im się wydawało, że już nie ma żadnego wyjścia.

Czy Korczak był bohaterem?

Jeśli tak, to nie tylko on. Korczak nie był jedynym, który tak postąpił. Była Stefa Wilczyńska, Esterka Winogron – moja szkolna koleżanka, tam były dzieci, które szły ze swoimi rodzicami, i rodzice, którzy szli z dziećmi. A jeśli chodzi o samego Korczaka? On nie miał innego wyjścia.

Mógł wyjść na aryjską stronę, mógł się ratować.

Już wtedy nie, nie mógł tych dzieci zostawić. On miał propozycję na Umschlagu – ale tego zrobić nie mógł!

dokończenie na s. 6

TYGODNIK
LITERACKI 5

dokończenie ze s. 6

Czy znała pani Korczaka?

Oczywiście. Jeszcze jako dziecko chodziłam do niego z matką. No i w getcie. Chodziłam do sierocińca. Dzieci Korczaka leżały u nas w szpitalu. Zresztą były konflikty między nim a Naczelną.

Dlaczego?

Proszę pani, Korczak był bardzo trudnym człowiekiem, bardzo trudnym. Był niesłychanie nieufny, porywczy, podejrzliwy. O ile pamiętam, on zarzucił jakąś nieuczciwość szpitalowi, absolutnie bezpodstawnie. To nie był łatwy człowiek, to nie był anioł. On był strasznym dziwakiem – sam zresztą pisał o tym.

Pani widziała Korczaka idącego z dziećmi do transportu.

Tak, widziałam ten pochód. Przechodzili pod naszymi oknami.

Stała pani wtedy w oknie?

Tak, tak... Widzieliśmy, jak szedł Korczak. I było w tym coś bardzo dużego. Oni po prostu szli z dziećmi.

Może pani dokładnie odtworzyć tamtą chwilę?

Myśmy stali przy oknie na pierwszym piętrze. Staliśmy bokiem przy prawej framudze. Patrzyliśmy, jak idą, środkiem ulicy. Nie ruszaliśmy się – Niemcy zaczęliby strzelać.

Szli środkiem ulicy równoległej do okna?

Tak. Myśmy widzieli, jak nadchodzą.

Czy pani pamięta dokładnie Umschlagplatz?

Dziś tak się tam pozmieniało, że to jest bardzo trudne. Po dłuższej chwili udaje mi się przywołać tamten obraz. Aha, tu są drzwi, tu jest wejście do szpitala, tutaj jest piwnica, tutaj są te okna... W ten sposób. A wszystko co jest poza tym, jest zupełnie inne. Tam nie ma rampy.

Tak, ale ja pytam nie o obraz rzeczywisty, a o ten, który zachował się w pani pamięci? Czy umiałaby pani tamto miejsce narysować?

Z wyjątkiem jednej rzeczy. Wiem, którędy wychodziłam ze szpitala na Umschlag. Wiem, jak te dwie części tego budynku wyglądały. Jedno skrzydło to był szpital i ambulatorium, a drugie skrzydło to była ta poczekalnia, że tak powiem – tam zbierali ludzi, którzy czekali na transport. Potem w jakiś sposób widzę siebie po odjeździe wagonów, zbierającą dzieci porzucone... Ale gdzie zgubiłam tę drogę, którą się dochodziło do wagonów. Widzę dwa oddzielne obrazy – wagony i Umschlagplatz. Ten kawałek „między” gdzieś mi się zgubił.

Dlaczego pani napisała swoje wspomnienia?

Bo w pewnym momencie uprzytomniłam sobie, że to powinno zostać. Choć miałam wielkie opory przeciw pisaniu.

Dlaczego?

Wydawało mi się, że i tak nikt nic z tego nie rozumie, a poza tym – ludzie chcą o tym zapomnieć, nic ich to nie obchodzi. A dla tych,

badaniami! A te nieprawdopodobne wysiłki lekarzy, żeby ratować życie ludzkie? W tych warunkach?! To było bohaterstwo – codzienne życie! A stereotyp jest taki, że to było bierne czekanie na śmierć. Nikt nie mówi o tym, że to było jedno z najbardziej bohaterskich miejsc w tej całej wojnie. I o tym próbowałam napisać, ale uważam, że mi się to nie udało.

Czy nie udało się pani, bo nie mogło się udać?

Nie wiem, to wszystko chyba za trudne do opowiedzenia. Tak jak Markowi nie udało się powiedzieć, że tamta śmierć w getcie to to samo, co śmierć w powstaniu. A jemu o to właśnie szło – że równorzędne są te dwie śmierci, i że to tylko ludzie sobie wymyślili, że ładniej się umiera z bronią w ręku. Więc oni postanowili też tak umrzeć. I mnie się nie udało powiedzieć – słuchajcie, to nie jest ważne, że to był Holocaust, że wtedy ginęli ludzie. To był stos bohaterski, to jest etos, jak ci ludzie tam żyli!

Dlaczego się tego nie da powiedzieć? Dlatego, że to przerasta naszą umiejętność wyobrażania?

Tak, a może trochę dlatego, że się mówi: „Mosiek, idź na wojnę! Jojne, idź na wojnę!” Kiedy Polacy przychodzili do getta, to rzeczywiście widzieli kłębiący się na ulicy tłum nędzarzy. Bo skoro na przestrzeni tych kilku ulic było 400 tysięcy ludzi, a przeciętna liczba na izbę mieszkalną to 10 osób? Więc nic poza nędzą nie można było zobaczyć!

Gdyby ŻOB nie wysłał pani na aryjską stronę, czy sama chciałaby pani wyjść?

Nie. Klóciłam się z Markiem o to. I dopiero Abrasza przeciął nasz spór. Ja nie chciałam wyjść, bo po prostu nie chciałam być sama, chciałam być z nimi do końca. Żadne bohaterstwo!

Rozmawialiśmy już o Korczaku – jednym z symboli getta. Pomówmy o innej postawie, o Czerniakowie.

Wtedy, w getcie, stawialiśmy sobie pytanie, czy taki człowiek jak Czerniaków miał prawo popełnić samobójstwo. Myśmy uważali, że śmierć powinna czemuś służyć. To znaczy, że on powinien być (to jest bzdura w gruncie rzeczy, tak mi się w tej chwili wydaje, kiedy już jestem stara), zamiast popełnić samobójstwo, rzucić to wszystko i stanąć na czele oporu. Tak wtedy my, młodzi, myśleliśmy. A dzisiaj wiem, że Czerniaków był po prostu porządnym człowiekiem. Nie wierzył w to, co się stanie. Tak jak 90 procent ludzi, nie 90 procent – 100 procent!

Do pewnego momentu.

Tak – do pewnego momentu. Czerniaków, jak wszyscy, wierzył, że jest to kwestia przetrwania. No i sądził, że wykonując polecenia Niemców, pomaga przetrwać... A kiedy to jego złudzenie się skończyło... Nie, nie – to był przyzwoity człowiek.

A wasz, młodych, stosunek do Judenratu?

Ja znałam parę osób z Judenratu i wiedziałam, że są to przyzwoici ludzie, którzy ciężko pracują i robią co mogą. Zygmunt Warman na przykład – był to najporządniejszy człowiek, jakiego znałam; uważaliśmy go za sumienie całej naszej grupy. Więc mimo że byli tam złodzieje i szubrawcy, pamiętałam, że nie wszyscy nimi są – tak jak zawsze i wszędzie.

A więc pewnie nie zgadza się pani z tym, co Ringelblum pisze o Czerniakowie i Judenracie.

Ringelblum pisze mnóstwo głupstw. Marek też nie uważa go za najmądrzejszego, delikatnie mówiąc. Ja go dobrze znałam

osobiście, bardzo dobrze. Ringelblum był moim nauczycielem historii w Jehudyji przez cztery lata. Niezły historyk, ale głupi człowiek – to był taki pan od końskich dowcipów.

(...) Zaczęliśmy mówić o Ringelblumie w związku z jego stosunkiem do Czerniakowa i Judenratu.

Tak, więc on pisze o Judenracie ze swojego ultralewicowego punktu widzenia: sami burżuje, złodzieje i bandyci. Nieprawda! Bzdura! Byli złodzieje, ale było też sporo przyzwoitych ludzi.

Pamięta pani wasze reakcje na samobójstwo Czerniakowa?

To była chyba przede wszystkim sprawa uświadomienia sobie, co się naprawdę z nami dzieje. Mówiłam pani, że część ludzi uważała, że nie powinien być się zabić, bo opór. Zrozumiałe było dla wszystkich, że jego śmierć była odmową, że nie chciał brać udziału w tym najgorszym. Dziś myślę, że śmierć Czerniakowa była taką samą śmiercią jak śmierć Zygielbojma.

Rzeczywiście tak pani myśli?

Nie zgadza się pani, bo tamten był w Londynie? Przecież Czerniaków swoją śmiercią protestował tak jak Zygielbojm.

dokończenie na s. 18

Nigdy nie wróciłam do domu

Z kim stała pani przy oknie?

Dużo nas stało. Dobrze pamiętam, że stała ze mną Zosia Skrzyszewska – ona zobaczyła swoich rodziców i siostrę wtedy...

Jak dzieci szły?

Czwórkami – na pewno: tak Niemcy ustawiali. A może szóstkami? Korczak szedł z przodu, chyba wśród dzieci. Potem kilka czwórek i szła Stefa Wilczyńska. I szły jeszcze te dziewczyny – Esterka Winogron i Natka. Małe dzieci szły na przodzie, potem starsze, Esterka szła na końcu chyba. Tak, że dzieci nie były zostawione z tyłu.

To znaczy, że było co najmniej czterech opiekunów.

Tak. Co najmniej. Ja pamiętam te osoby, które znałam Esterka, moja szkolna koleżanka, Stefa, Natka...

Natka była młoda?

Młoda? Nie, w moim wieku była – dwadzieścia parę lat miała.

No więc była młoda!

Nie, młoda wtedy była szesnastoletnia dziewczyna.

Ile dzieci szło z Korczakiem?

Czterdzieścioro? Pięćdziesięścioro?

Taka duża klasa?

Taka duża klasa... Nie wiem, nie wiem...

Widzieliście pani tylko ten moment, kiedy Korczak z dziećmi przechodził pod oknami?

Tak. Widzi pani, to było tak. Szpital był na rogu Leszna i Żelaznej (dziś to się nazywa Świerczewskiego). Okno, przy którym staliśmy, wychodziło na Żelazną. Dzieci szły Żelazną w stronę Nowolipek. Tak, że widzieliśmy je na tym małym odcinku. I koniec. Myśmy nie mogli się nawet ruszyć przy tym oknie. A oni po prostu defilowali pod nami. A za dziećmi szli inni... Dzieci nie były opuszczone, nie były przerażone, zagubione, rozumie pani? To ważne. Korczak wypełnił swój obowiązek do końca, do samego końca. I jeśli wypełnienie obowiązku jest bohaterstwem... Wie pani, mnie w tym wszystkim zawsze boli jedna rzecz. Dlatego się mówi tylko o Korczaku?

Pewnie dlatego, że ludzie potrzebują symboli.

A te dziewczyny, młode? To jeszcze więcej niż Korczak. On nie miał wyboru właściwie. Tamten pochód był konsekwencją jego życia. Ale te młode dziewczyny? One mogły się prawdopodobnie ratować.

No tak, ale ich postawa była taka sama jak postawa Korczaka.

Właśnie o to chodzi! Ta ich postawa znaczyła jeszcze więcej – one miały po 20 lat! Iść do walki, ryzykować życiem – to zupełnie co innego niż iść świadomie na śmierć. Kiedy się ma 20 lat, bardzo chce się żyć... Na żadnym pomniku nie ma tych dziewczyn. Dlaczego? Dlatego, że Korczak był sławny, a one nie? Tak, Korczak był wielkim pisarzem, a ich śmierć została bezimienna.

Tak jest chyba zbudowany świat – poprzez tych wielkich swoje szczęścia i nieszczęścia wyrażamy.

Może. Nie wiem. Nie lubię tego... Opowiem pani dowcipną historię o Korczaku. To było na początku wojny. Korczak wszedł do tramwaju. On stał, a obok niego siedział jakiś facet. I ten facet mówi: – Niech kupiec siada! Korczak stoi. – No, mówilem, niech kupiec siada! Co, kupiec czeka, żebym go posadził?! – Kiedy kupiec był pułkownikiem w polskim wojsku, to takich jak ty – gnoju – sadzał... w pudle, nie na ławce!

Jak wyglądało pani wejście do ŻOBu?

Ja o tym bardzo dokładnie piszę. (...)

którzy to przeżyli, nie ma po co o tym pisać. Ale mimo wszystko – to nie powinno zginąć. I jeszcze jedno. Utworzył się stereotyp myślenia o getcie – fatalny stereotyp. Nie wiem, Markowi się nie udało i mnie się też nie udało odkłamać tego, wyjaśnić, że ci ludzie zamknięci to nie było stado bydła. Mówią o getcie mówią się tylko o śmierci, o tym jak nędźnie się tam umierało. Nie mówi się o życiu i o bohaterstwie tych zwykłych ludzi. O ich walce, by pozostać ludźmi, by przetrwać po ludzku.

Czy ten stereotyp można zilustrować takim obrazkiem – „eleganckie towarzystwo w kawiarni i szkielety na chodniku”?

No, właśnie! Kawiarnie dla bogatych! I to nieprawda. Głodnych było 90 procent, a większość umierała z głodu. Tych, którzy pławili się w rozkoszach, było „ile was raz” – 5 procent, 10 procent. A koncerty, tajne nauczanie? – przecież to było ratowanie naszego człowieczeństwa! A praca nad chorobą głodową?! W tych warunkach! Zdaje pani sobie sprawę z tego? Lekarze, którzy sami umierają z głodu, zajmują się takimi



FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK

Szatan w Goraju

W roku 1648, w czasie, kiedy ten zbrodniarz Chmielnicki ze swymi hordami oblegał Zamość nie mogąc go zdobyć z powodu okalających miasto mocnych fortyfikacji, hajdamacy i Tatarzy dokonali wielkich rzezi w Tomaszowie, Biłgoraju, Kraśniku, Turobinie, Frampolu, a także w Goraju, zapadłym miasteczku położonym między górami. Mordowali, odzierali żywcem ze skóry, zabijali małe dzieci, bezczęścili kobiety, po czym rozpruwali im brzuchy i zaszywali w nich koty. Wielu mieszkańców uciekło do Lublina, wielu zostało ochrzczonych lub sprzedanych w niewolę. Goraj, znany niegdyś ze świetnych talmudystów i cnotliwych obywateli, całkowicie opustoszał. Okrągły rynek, na którym niegdyś odbywały się targi, porósł chwastami, w bóżnicy i w Bet Hamidrasz pełno było końskiego łajna, większość domów pochłonięta ogniem. Przez wiele miesięcy po masakrze na ulicach wałęsały się trupy i nie było komu ich pogrzebać. Bezpańskie psy rozrywały ciała na strzępy, a sępy i wrony żywiły się ludzkim mięsem. Ci nieliczni z polskiej szlachty, którzy pozostali przy życiu, porzucili Goraj udając się w nieznane. Wydawało się, że miasteczko zostało na zawsze starte z powierzchni ziemi. Dopiero po wielu latach zaczęli wracać do Goraja bezdomni mieszkańcy. Spośród licznych rodzin powracały tylko jednostki. Młodzi ludzie posiwiali i postarzelisi, ubrani byli często w lachmany i nieśli ze sobą żebrackie torby. Niektórzy zeszli z prostej drogi, inni popadli w melancholię. Ale tak już urządzony jest świat, że z czasem wszystko wraca do poprzedniego stanu. Okiennice, które długo stały zabite pordzewiałymi sztabami, zaczynały się jedna po drugiej otwierać, pozbierane szczątki wprowadzono na zbiczyszczony cmentarz i pogrzebano we wspólnym grobie. W sklepikach nieśmiało uchylano drzwi. Czeladnicy naprawiali podziurawione dachy, stawiali na nowo kominy, zamałowali ściany, na których pozostały ślady krwi i szpiku. Chłopcy grzebali długimi tyczkami w wyschniętych studniach, w których wałęsały się kości ludzkie. Stopniowo domokraci zaczęli chodzić od wsi do wsi przynosząc ze sobą żyto, pszenicę, warzywa i len. Okoliczni chłopcy, w większości grekokatolicy, którzy do tej pory bali się postawić nogę w Goraju, bowiem panoszyły się tam złośliwe demony, znowu przyjeżdżali na furach, kupowali sól i świece, cec na spódnice i kaftaniki, kabały i gliniane garnki, przeróżne koraliki i paciorki. Goraj zawsze był odcięty od świata. Dokoła na mile rozciągały się góry i gęste lasy. Zimą na drogach buszowały niedźwiedzie, wilki i dziki. Od czasu masakry zle bestie jeszcze bardziej się rozpleniły.

Jako ostatni przybyli do Goraja stary rabin, gaon¹ Benisz Aszkenazy i dawny wielki bogacz i parnes² kahał³, reb⁴ Eliezer Babad. Reb Benisz sprowadził ze sobą więcej niż połowę rodziny. Niezwłocznie zamieszkał w swoim domu obok podwórza bóżnicy, zaczął doglądać, czy przestrzegane są zwyczaje i przepisy uboju koszernego, pilnował, żeby mężatki w odpowiednim czasie chodziły do mykwy, a młodzieńcy znowu zaczęli studiować Torę. Dwie córki i pięcioro wnucząt zostawił na cmentarzu w Lublinie, w którym to mieście spędził cały ten czas. Jednak jego postępowanie nie uległo żadnym zmianom. Wstawał o świcie, studiował Talmud i komentarze przy świetle łojowej świecy, obmywał się w zimnej wodzie i modlił się w bóżnicy o wschodzie słońca. Reb Benisz miał ponad siedemdziesiąt lat, ale trzymał się jeszcze prosto – białe włosy na jego głowie nie były przerzedzone, a zęby nie powypadały. Kiedy po raz pierwszy po latach przekroczył próg bóżnicy – wysoki, barczysty, z długą zaokrągloną, kędzierzawą brodą, w rozpiętym aksamitnym, sięgającym ziemi chalcie, w wysokiej futrzanej czapce nasuniętej głęboko na kark, z cybuchem fajki w ustach – wszyscy powstałi z miejsc i odmówili modlitwę dziękczynną z okazji cudownego zmartwychwstania, bowiem krążyły już pogłoski, że reb Benisz zginął w Lublinie podczas rzezi dokonanej w wigilię święta Sukot w roku 1655. Cycesy⁵ jego tureckiego tałes kutn⁶ płatały mu się przy kostkach. Nosił krótkie białe spodnie, białe pończochy i buty z płytką cholewką.

Reb Benisz chwycił między palec wskazujący i kciuk krzaczastą brew zwisającą mu nad prawym okiem, uniósł ją, żeby lepiej widzieć, po czym obrzucił spojrzeniem poczerwiałe, odrapane ściany, puste półki na książki, i głośno powiedział:

– Przepadło... Wolą naszego błogosławionego Boga jest, abyśmy zaczęli na nowo...

Reb Benisz Aszkenazy odziedziczył swój urząd w Goraju po przodkach. Był autorem komentarzy i responsów, należał do sądu Sejmu Czterech Ziem i zaliczano go do najbystrzejszych komentatorów Talmudu. W dawniejszych czasach nieraz przybywali do położonego na uboczu Goraja rabini i uczeni talmudyści, by uzyskać od reba Benisza zgodę na ponowne zawarcie jakiegoś małżeństwa, bowiem dzięki swej bystrości w studiach dopuszczał okoliczności łagodzące. Ileż to razy pojawiali się posłańcy ze słynnych miast, by go namówić do objęcia u nich urzędu rabina i wracali z pustymi rękoma; reb Benisz chciał dożyć swych lat w miejscu, gdzie dziedziczył swój urząd z dziada pradziada. Teraz znowu znajdował się u siebie. Jakimś cudem szkody w jego domu były niewielkie. Ocalały dwie ciężkie dębowe szafy z religijnymi księgami i rzadkimi rękopisami, staroświeckie krzesła pokryte żółtym aksamitem, miedziane świeczniki, które otrzymał w spadku po pradiadach. Na strychu leżały głębokie na łokieć sterty zniszczonych świętych ksiąg i rękopisów. Powiadano nawet, że schowany jest tam gliniany Golem, który niegdyś pomógł Żydom w Goraju w czasie przesładowań.

Reb Eliezer Babad wrócił tylko z jedną córką. Starsza córka, mężatka, została zgwałcona, a potem przebita piką przez Kozaków. Jego żona zmarła podczas zarazy, a syn jednak przepadł i nie wiadano, co się z nim stało. Jedyny murowany dom w Goraju, który należał do reba Eliezera był na wpół

zburzony: wprowadził się więc do ocalałej izby na piętrze. W dawnych czasach imię reba Eliezera Babada było sławne szeroko ze względu na jego majątek. Ubierał się w jedwabie nawet w powszednie dni. Podczas zaślubin prowadzono narzeczoną do jego domu, a klezmerzy⁷ grali na jego cześć. W bóżnicy kantor czekał na reba Eliezera by odmówić osiemnaście błogosławieństw, a w szabas jadano u niego na srebrnej zastawie. Nieraz dziedzic z Goraja przyjeżdżał do reba Eliezera w swojej karocy i zastawiał klejnoty dziedziczki za złote dukaty. Teraz reb Eliezer Babad był nie do poznania. Długa, wąska postać pochyliła się jak świeca, spiczasta jak klin broda stała się popielata, wychudzona twarz nabrała ceglastej barwy. Oczy osadzone zbyt blisko kościstego, łuszczonego nosa były wybałuszone i wydawało się, że czegoś szukają na ziemi. Chodził w starej baraniej czapce, w cągowym chalcie, biodra opasywał sznurkiem, stopy miał owinięte szmatami tak jak prości ludzie lub nawet żebracy. Nie przy-

chodził się modlić do bóżnicy, sam zajmował się domem, zmiatał, warzył stawę dla siebie i swojej jedynaczki, a nawet chodził na targ kupić od przekupiek kopru za parę groszy. Ile razy ktoś próbował go zapytać, jak się miewa i co mu się przydarzyło w obcych stronach, reb Eliezer wzdrygał się jak na straszliwe wspomnienie, kurczył się jakby w sobie, patrzył gdzieś poza ramię pytającego i odpowiadał:

– Et, nu... po co o tym mówić?... Nie warto nawet wspominać...

Niektórzy powiadali, że tuż przed północą reb Eliezer odprawia pokutę za dawne grzechy. Pobożna Teme Rachel opowiadała w dodatku, że raz późną nocą, kiedy przechodziła obok jego okna zauważyła jak reb Eliezer stąpa wielkimi krokami w tę i z powrotem i zawodzi coś żalnym głosem. Inni szeptali sobie na ucho, że reb Eliezer Babad jest pomyłony: nie zdejmuje ubrania do snu i kładzie się z długim nożem u wezgiłowia jak położnica. Jego córka, Rechele, siedemnastoletnia panna, kulala na lewą nogę i dlatego chowała się w swojej izbie rzadko tylko wychodząc na zewnątrz. Była wysoka, o ziemistej cerze, piękna, z długimi czarnymi włosami do kolan. Na początku, kiedy reb Eliezer przybył do Goraja, ludzie usiłowali ją swatać, bo wstyd, żeby panna w tym wieku siedziała bez męża. Ale reb Eliezer nie odpowiadał szadchenom⁸ ani tak ani nie, oni zaś zmęczeni się czczą, nic nie przynoszącą gadaniną. Do tego Rechele od początku przejawiała dziwne zachowanie. Kiedy grzmiało, wrzeszczała i chowała się pod łóżko. Do młodych mężatek i panien, które przychodziły do niej w odwiedzinie nie odzywała się ani słowem i w końcu je przepędzała. Od wczesnego ranka do wieczora siedziała samotnie, robiąc na drutach pończochy lub tylko czytając hebrajskie książeczki, które przywiozła z obcych stron. Kiedy indziej znów zaplatała dwa warkocze i wystawała przy oknie. Wielkie ciemne oczy spoglądały ponad wszystkimi dachami, szeroko otwarte, jasno świecące, jakby widziała rzeczy przed wszystkimi ukryte. Chociaż była ułomna, wzbudzała w mężczyznach grzeszne myśli. Niewiasty potrzasały nad nią głowami, szepecząc sobie do ucha:

– Opuszczone stworzenie, sierota... I taka słabowita...

– Markotne biedactwo...

dokończenie na s. 10



STANISŁAW FIJALKOWSKI *Ognisty wóz Eliasza*

Ja – polski poeta, hebrajski niemowa

Literatura polsko-żydowska i żydowsko-polska (1918-1939)

Nie są to ani dwie różne literatury w obrębie jednego piśmiennictwa, ani dwie różne nazwy tego samego, ani nawet dwa różne punkty widzenia, lecz – wyrażona w formie niezbyt wygodnej istota tej literatury. Jej miejsce. A jest to miejsce szczególne. I taka też jest sytuacja. Literatura polsko-żydowska i żydowsko-polska jawi się jako osobna. (...) Utwory literackie z kręgu tego piśmiennictwa stanowią obszar dramatycznej transgresji. Ambivalentna przestrzeń przekroczenia, które zawsze odsłania się także jako wykroczenie, jako wyzwanie. W literaturze tej przemawia po raz pierwszy po polsku Żyd jako podmiot i przedmiot swej wypowiedzi.

Określenia „literatura polsko-żydowska i „literatura żydowsko-polska” są – jak na razie – postulowanymi terminami historyczno-literackimi, które miałyby zastosowanie wyłącznie do zjawisk uformowanych w dwudziestolecie międzywojennym, zwłaszcza w latach trzydziestych. * Wcześniej podejmowano tylko mało znaczące, pojedyncze próby, chociaż pierwszym twórcą polsko-żydowskim (i żydowsko-polskim) był już Klaczko w swych wierszowanych juveniliach. Później, po Holokauście, zjawisko to występuje szczerkowo – za epigona można uznać bodajże ostatniego publikującego w Polsce, dwujęzycznego, polsko-żydowskiego pisarza Segala. Osobny problem to na przykład twórczość Idy Fink i innych pisarzy mieszkających w Izraelu. Literatura, którą proponuje się tak określać, genetycznie związana jest z tradycją żydowskiego dyskursu formułowanego w polszczyźnie, w żydowskim piśmiennictwie w języku polskim: z niego wywodzi się, jawi się jako jego szczególny fragment. Jest przekazywana w żydowsko-polskim obiegu komunikacyjnym, jemu zawdzięcza swe istnienie, w jego ramach i na jego tle jest identyfikowana. I piśmiennictwo i system przekazu stanowią podstawowy kontekst literatury polsko-żydowskiej i żydowsko-polskiej, chociaż każdy z tych czynników w nieco inny sposób. Można więc wstępnie powiedzieć, że głównym – ale nie jedynym – wyróżnikiem tej literatury jest **funkcjonowanie w obiegu komunikacyjnym obsługującym żydowski dyskurs w języku polskim oraz jej percepcja na tle treści tam artykułowanych.**

2

W sensie najściślejszym, bo wedle kryterium językowego, do literatury polsko-żydowskiej i żydowsko-polskiej (i to równocześnie) należą pisarze dwujęzyczni. Tacy jak Maurycy Szymel i Dabora Vogel – żeby ograniczyć się do najbardziej znanych nazwisk. Jedyny w swoim rodzaju przykład – wręcz symboliczny – czegoś w rodzaju absolutnej dwujęzyczności, to właśnie proza Vogel *Akacies blien. Montaźn.* (Warsze 1935) – *Akacje*

Maurycy Szymel

Noce biblijne

Zagubiłem się w twych czarnych słowach;
Trudno mi od ciebie odejść.
W nocy szumią twoją mroczną mową
Rozwichrzane winnice, kędzierzawe ogrody.
Stare drzewa porastają liściem świeżym,
Łąki falą kładą się zamgloną –
Witam was ogorzali pasterze
Z Galilei, z Samarji, z Saronu.
Jak bardzo pachnie ta ziemia,
Jak bliska jest sercu i oczom –
Pozwólcie mi nocni pasterze
Przy was odpocząć.
Z gór spływa noc wysoka,
Noc najpiękniejsza na świecie –
Tobie ojczyzno proroków
Idę naprzeciw.

[Powrót do domu, Warszawa 1931]

kwitną. Montaże. (Warszawa 1936). Ten sam utwór w dwu wersjach językowych, skierowany do dwu różnych obiegów – prawie w tym samym czasie. Rzadki to przykład. Ale jest tu jeszcze coś innego: można zaryzykować stwierdzenie, że rzecz powstała (może ściślej: powstawała) w dwu systemach językowych równocześnie, że nie sposób ustalić języka oryginału. Opiaram ten pogląd na znanym fakcie związków łączących autorkę z Schulzem, na tym, że twórczość literacka obojga wyrosła z korespondencji, na wspólnocie wątków, przymyśleń, które on zapisywał w polskiej prozie, ona – w pisanych po żydowsku wierszach i w żydowsko-polskiej prozie poetyckiej. Oczywiście gdy mówimy o dwujęzyczności w grę wchodzi także kwestia proporcji ilościowych i jakościowych, to czy „pobyt” w danym języku miał charakter trwały, czy przejściowy lub okazjonalny. Są tu możliwe rozmaite relacje.

Imber – znany wówczas poeta żydowski – dosyć nagle, w wieku czterdziestu pięciu lat, publikuje najpierw w obiegu polskim (nie w polsko-żydowskim!) esej „Pieśń i dusza Oskara Wilde’a” (Warszawa – Kraków 1934). Jest to jego rozprawa doktorska, która zaczęła powstawać pod wpływem wykładów z literatury powszechnej Jana Kasprzowicza. Rzecz wysoko oceniona – zwłaszcza za znakomitą polszczyznę. W tym samym czasie Imber prezentuje się w obiegu żydowsko-polskim jako błyskotliwy polemista i pamfletista. Drukowane w krakowskim „Nowym Dzienniku” i lwowskiej „Chwili” artykuły publikuje w formie książkowej (*Asy czystej rasy*, Kraków 1934), we własnym powołanym do tego wydawnictwie – Bibliotece Imbera. Znowu znakomite recenzje – nie tylko w prasie polsko-żydowskiej. Recenzent wileńskiego „Słowa” J. Wyszomirski napisał: „Książka p. Imbera pisana jest nieskazitelną, klasyczną, powiedziałbym – pomnikową polszczyzną. (...) Pod wpływem książki p. Imbera pomyślałem, że powinniśmy poddać rewizji nasze poglądy na żydostwo”. Od 1936 zaczyna wydawać mały miesięcznik „Oko w Oko” (Lwów), który chyba w całości wypełnia własnymi tekstami. Można więc powiedzieć, że i Imber jest pisarzem dwujęzycznym, żydowsko-polskim i polsko-żydowskim, chociaż wystąpił „gościnnie w polszczyźnie” ta formuła pojawiła się przy okazji jego polskiego debiutu, chociaż jego twórczość ściśle artystyczna dokonywała się w języku żydowskim. (Zauważyć trzeba, że skromne hasło w *Encyclopedia Judaica* w ogóle nie wspomina o tej części pisarskiego dorobku Imbera).

Pamiętać należy także o pewnej ogólnej prawidłowości i zarazem osobliwości: wiadomo, że w dwudziestolecie międzywojennym żydowski paradygmat kulturowy i komunikacyjny realizował się w trzech językach i w trzech obiegach, że istniał między nimi przepływ ludzi i tekstów, że wielojęzyczność (ściślej: trójjęzyczność) była cechą nadrzędną, że istniała wówczas wysoka podaż tłumaczeń (w takiej sytuacji komunikacyjnej translatorstwo nabiera zresztą szczególnego znaczenia, zmieniającego istotnie problematykę zazwyczaj uświadamianą w związku z tradycją). Ale jest i tak, że obok tłumaczeń jawnych występują tłumaczenia nieujawnione. Taka praktyka pojawia się zwłaszcza w prasie polsko-żydowskiej i dotyczy przeważnie tekstów dyskursywnych: publicystyki, krytyki literackiej, eseistyki. Zdarza się ona i w przypadku utworów literackich. Zapewne częściowo da się to wytłumaczyć niefrasobliwością redakcji, ale nie tylko. Wydaje mi się, że można mówić tu o pewnej strategii.

Nie wchodząc w szczegóły, sygnalizuję uproszczoną typologię tej praktyki: 1. sytuacja, gdy tekst został opublikowany w języku oryginału i następnie (lub nawet równolegle) przełożony, 2. sytuacja, gdy zachodzi różnica między językiem, w którym tekst powstał, a językiem, w którym został opublikowany (intensyfikuje się to jeszcze, gdy ten pierwodruk pozostaje jedyną publikacją lub wręcz jedynym śladem tekstu). Oznacza to, że na przykład do polszczyzny zalicza się teksty w ogóle nie napisane po polsku przez autora. Zamówione, opracowane, przełożone w redakcji – funkcjonują jako teksty oryginalne. Jest to kłopotliwe, gdy chodzi o autora albo mniej znanego, albo takiego, który faktycznie mógł napisać w danym języku. Ten mechanizm i ta praktyka występują w rozmaitych odmianach i komplikacjach we wszystkich żydowskich obiegach. Oto najbardziej znane przykłady: Janusz Korczak napisaną po polsku opowieść o małym Mojżesz (z zamierzonego cyklu *Dzieci Biblii*) publikuje po hebrajsku – do polszczyzny ten tekst może wrócić już tylko jako tłumaczenie z hebrajskiego. Do niedawna, do czasu londyńskiej publikacji, podobna sytuacja – zdaje się – miała miejsce w przypadku Idy Fink (*Skrawek czasu*, Londyn 1987). W ramach ciekawostki warto wspomnieć o wielce charakterystycznym przypadku nieujawnionego tłumaczenia (a raczej próbie nieujawnienia) w obiegu polskim. Wydany w latach trzydziestych polski przekład powieści Izraela J. Singera *Josie Kalb* (1934) ukazał się bez nazwiska tłumacza, w ogóle bez informacji, że jest to przekład.

Nie wszystko, co wydrukowano po polsku, po żydowsku lub po hebrajsku było napisane w tych językach. I odwrotnie.

Maurycy Schlanger

Wyznanie moje

Dziś piszę po polsku.

Bo po polsku dzień jasnym pomrukiem mnie wita,
po polsku muza gra na harfie eolskiej,
po polsku wędzną bzy, po polsku pachnie żyto.

Hej! Rozanielcie się dźwięki
zamierzehlej matczynej kołysanki –
smętnej, krakowskiej piosenki.
Śpiewaj mi dziś wicherze! Graj mi macierzanko!

Kiedyś, za rok, za dwa, zaniedługo
pożegnam was, białe brzozy i irysy
i pójdę tam, na Wschód. I na zimnym pługu
kroplami potu będę wiersze pisał.

Dzi rozdarty między dwie kultury,
dziś zaklęty w dwa języki,
jutro scalać mchy Świętego Muru,
jutro zachłysnę się ojczystym krzykiem.

Lecz dopóki palmy nie rzucą cienia menory
na moją – radosnym znojem przepojoną – głowę,
smutny będę i chory
ja – polski poeta, hebrajski niemowa.

[Idę]

3

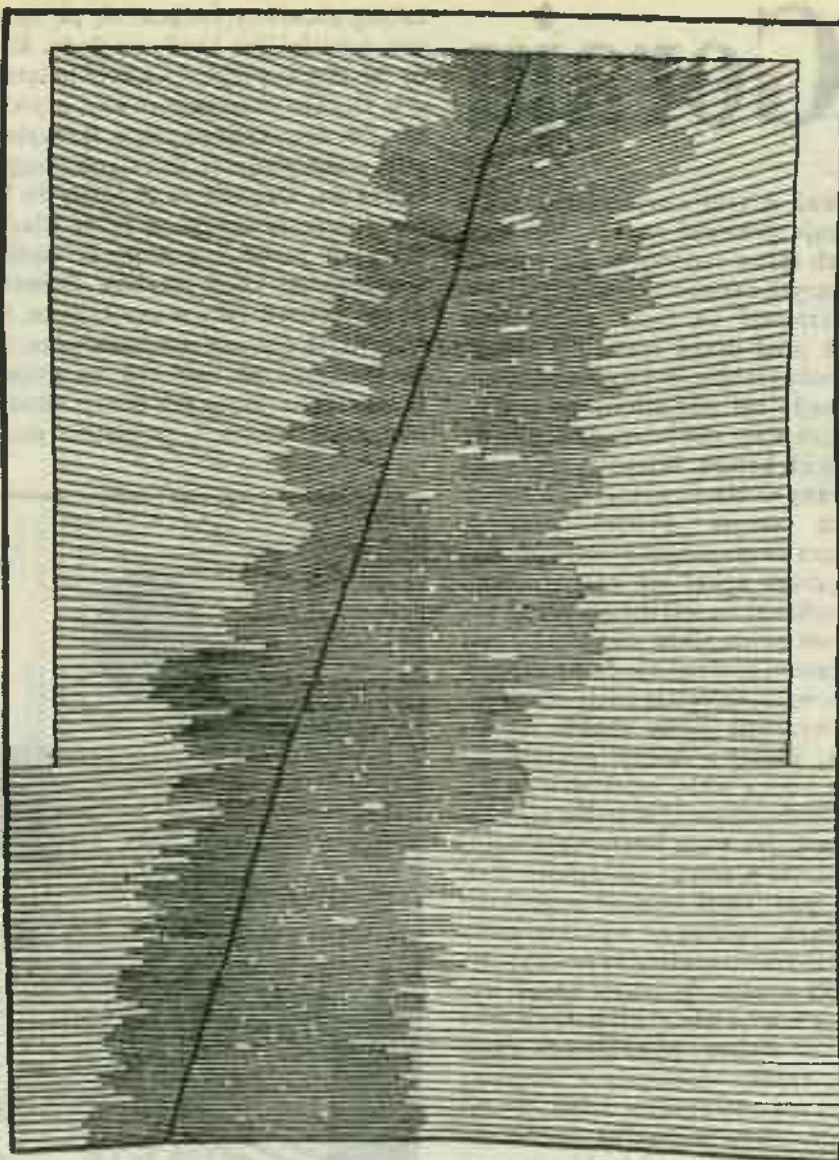
Literaturę polsko-żydowską i żydowsko-polską wyróżnia także – do pewnego stopnia – specyfika podmiotu utworu (czy też jak się mówi w polskiej terminologii teoretycznej: hipotetycznego podmiotu czynności twórczych) i świata przedstawionego (tematyka i topika przede wszystkim). Nadawca utworu (jednak nie mylić z autorem!), podmiot czy narrator bywa w wielu utworach konkretyzowany jako Żyd, który mówi o sprawach żydowskich. Wydaje się, że kryterium osobowo-tematyczne stanowi wyłączny znak tej literatury. W latach 1918-1939 miała ona w obrębie polskiego piśmiennictwa literackiego wręcz monopol na temat żydowski. Jednakże kryterium to jak każde zresztą kryterium tematyczne ma wartość jedynie pomocniczą i orientacyjną. Jego zasięg jest z jednej strony nadmiernie szeroki, z drugiej – zbyt wąski, gdyż eliminuje z żydowsko-polskiego obiegu literackiego wiele utworów. Zdarza się, że żadna z wersji nie jest tematycznie nacechowana (choćby wspomniana wcześniej proza Vogel *Akacje kwitną*). Żydowski podmiot utworu, żydowska problematyka i realiami nasycony świat przedstawiony, odwoływanie się do znaków żydowskiego kodu kulturowego, religijnego czy politycznego, stanowią o niepowtarzalnym obliczu tej literatury, są jej tematycznym znakiem, powiedziałbym nawet: podstawową zasadą organizującą semantykę wypowiedzi. Są jednak w tej literaturze, często u tych samych autorów, także inne tematy. Zauważmy – nie wyczerpując bynajmniej obszernego i złożonego problemu – i taki aspekt: oświadczenie, że się jest tym lub owym oraz eksponowanie własnej tożsamo-

ści częściowo przynajmniej motywowane jest potrzebą odróżnienia, odpodobnienia, w warunkach gdy inne czynniki – na przykład język czy system kultury – upodabniają. Szymon Wolf, prezentując w 1929 roku antologię poezji młodohebrajskiej tworzonej w Palestynie, zaobserwował, że pisarze, którzy przybywają do Palestyny z różnych krajów diaspory i zaczynają pisać po hebrajsku – tracą tę tematyczną cechę. Pisz: „(...) nie ma potrzeby wzywania i budzenia świadomości. Może śmiało zrezygnować z nerwowego akcentowania swojej żydowskości, jest to bowiem fakt naturalny, o którym się nie mówi (...)”. (Słowo od tłumacza, w *Antologia najmłodszej poezji palestyńskiej*, wybór i przekład Szymon Wolf, Warszawa 1929, Wydawnictwo „Wschód”). Czyli – jak każda poezja – jest nieograniczona w problematyce i uniwersalna.

4

Jak z dotychczasowych uwag wynika ów fenomen kulturowy i literacki można wyodrębnić i określić dzięki czynnikom komunikacyjnym, językowym, tematycznym (czyli dwa kryteria formalne i jedno semantyczne). O maksymalnej wyrazistości można mówić, gdy wszystkie te czynniki występują łącznie, zaś odpowiednio zmniejsza się ona kiedy pojawiają się rozłącznie. Aż do momentu, w którym wybór obiegu komunikacyjnego znaczy tylko tyle, co wybór „miejsca” druku (bo chcą drukować, bo lepiej płaca itp.), a artykulacja żydowskiej tożsamości – staje się ledwie tematem. Zresztą pisarze polscy w prasie żydowsko-polskiej publikowali sporadycznie (np. Witkacy). Jedyny polski talmudolog, który nie był ani antysemitą, ani – zdaje się – żydowskiego pochodzenia, T. Zaderecki, wszystkie swoje książki wydawał tylko w tym obiegu.

Literatura żydowsko-polska to złożony obszar „ruchomej strukturalizacji”, skomplikowany nie przez jakąś szczególną zawilść tekstów, czy niespotykaną komplikację środków wyrazu artystycznego, lecz przez nagromadzenie uwikłań pozatekstowych, współwystępowanie rozmaitych porządków: od językowych po socjotechniczne. Obszar, który będąc w całości usytuowany na pograniczu, sam ma swoje centrum i pogranicza, swoje strefy nieokreślenia, ambiwalencji, oscylacji między potencjalnym biegunem „żydowskim” i między równie potencjalnym biegunem „polskim”. Jest to piśmiennictwo z jednej strony ostro odróżniające się od tła, z drugiej – przenikające w tło. Kilkadziesiąt nazwisk pisarzy i poetów, wśród nich J. Korczak, M. Szymel, R. Brandstaetter, D. Vogel, L. Belmont, J. Appenzlak, A. Eker. Drugie tyle recenzentów i krytyków literackich: W. Fallek, M. Kanfer, K. Dresdner, Ch. Löw, H. Weber, S. Pomer, J. Feldhorn, I. Berman. Kilku, może kilkunastu esejistów: S. J. Imber, I. Schipper, I. Lewin, E. Stein. Grupa tłumaczy na czele z I. Bermanem, W. Kragen, M. Wasermanówną. Cała ta grupa równocześnie i nieustannie przemieszcza się i krąży pomiędzy różnymi obiegami językowymi w obrębie żydowskiego paradygmatu komunikacyjnego, krąży również pomiędzy podwójnym obiegiem w ramach języka polskiego: żydowsko-polskim i polskim. Możliwe są tu rozmaite warianty. Vogel jako pisarka żydowska publikuje, rzecz jasna, w obiegu języka żydowskiego, ale jako polskojęzyczna literatka, krytyk i tłumaczka – w obiegu wyłącznie polskim. M. Braun (zresztą zdeklarowany przeciwnik terminu literatura polsko-żydowska względnie żydowsko-polska) jako poeta występuje tylko w obiegu polskim, natomiast jako publicysta publikuje w prasie polsko-żydowskiej. J. Feldhorn jako historyk sztuki, poeta, tłumacz funkcjonuje w polskim systemie komunikacyjnym – krytykiem jest w obiegu żydowsko-polskim. I. Berman i jako krytyk i jako tłumacz jest obecny w obydwu systemach przekazu. Polskojęzyczny dyskurs żydowski występuje wobec – wedle terminologii Satre’a – „publiczności rozbitej”, rozróżnia „publiczność faktyczną” i „publiczność potencjalną”. Ślady tej świadomości można odnaleźć w strategii pisarskiej. Myślę tu o osobliwym przykładzie z twórczości Korczaka, który napisał po polsku jakby dwie wersje tej samej książki: *Moški, Joški i Srule* (Warszawa 1910) i *Józki, Jaški i Franki* (Warszawa 1911), kierując je do dwu różnych publiczności w ramach języka polskiego. Jest to sytuacja pararelna i równie wyjątkowa, co strategia zastosowana przez



STANISŁAW FIJALKOWSKI *Druha brama dla Studiującego Talmud*

Vogel. Poczucie występowania wobec podwójnej publiczności stanowi jedną z cech charakterystycznych tego zjawiska literackiego. Ostatnim poetą, który miał tę świadomość był piszący w ginącym getcie Warszawy Szlengel. Dał temu wyraz w przedmowie do tomiku *Co czytałem umarłym* (Warszawa 1979), której sam tytuł jest już słowem dwugłosowym: „Do polskiego czytelnika” (zwróćmy uwagę: polski czytelnik Żyd i polski czytelnik nie-Żyd, zresztą oddzielenie obydwu publiczności dokonało się najdosłowniej, bo mur getta stanowił najściślejsze kryterium komunikacyjne). Pisz Szlengel: „Z jednej strony są wiersze, których czytelnik polski nie

Maurycy Szymel

Wiersz moralizatorski

Nie bijcie koni. Nie męczcie stołów nadmiernym ciężarem.
Całujcie chodnik, mury i psa,
Nie parcie słońca oczami. Nałóżcie okulary.
Pomyślcie jak samotną, bezbronną jest ła.
Pisząc, nie kłujcie papieru. Baczcie, by szyja nie uciskała kołnierza.
Uwolnijcie od waru bulgocącą wodę.
Czemuż wam nie żal
Pajaka. Taki jeszcze młody.
Nie zabijajcie ptaków ani ludzi.
Nie kupujcie kwiatów miedzianowłosej tancerce.
Nie przeciągajcie strun na mandoli –
Poco wbijać sztylet we własne ręce!
To przecież – boli!

[*Wieczór liryczny*, Warszawa 1935]

»rozgrzyzie« i z drugiej strony są tu wiersze tak siedzące myślami w kulturze polskiej i polskiej obyczajowości, że ich publicznie nie czytałem »u nas« (...). To tylko sygnał rozlicznych komplikacji”.

5

Tym, co wyróżnia zasadniczo całe żydowskie piśmiennictwo polskojęzyczne, co modeluje od wewnątrz, od samych podstaw ten dyskurs, jego stylistykę i semantykę, poetykę i etykę, tym, co jest ukryte, i tym co jest jawne, w strukturze głębokiej i powierzchownej, tym co stanowi prawdę tego dyskursu – jest różnica. Różnica fundamentalna, źródłowa, archetypowa: między „swo-

im” i „obcym”, „takim samym” i „innym”, „tożsamym” i „nie-tożsamym”. Tu wcielona w to, co najogólniej można określić jako „żydowskie” i to, co „polskie”, skonkretyzowana w formie różnicy między żydowskim sensem i polskim językiem. W piśmiennictwie, które jest formowane w polszczyźnie, różnica ta stanowi podstawę ontologiczną, określa sposób istnienia. Ta źródłowa sytuacja powoduje, że jest to dyskurs – potencjalnie – dwubiegowy, mający dwa możliwe centra znaczeniowe, wewnętrznie dwoisty. I jest to przestrzeń dramatyczna.

W tekstach nieliterackich – (religijnych, politycznych, publicystycznych, historiograficznych) różnicę utrzymuje głównie nadrzędność znaczenia wobec znaków językowych. W tego typu wypowiedziach rola języka jest z natury mniejsza, „da” się on zinstrumentalizować, upodrzędzić, zdominować. Stąd też różnica jawi się jako „zlokalizowana”, „ustawiona”, jej produktywność ograniczona, a ambiwalencja powstrzymana. Są to wypowiedzi żydowsko-polskie. Różnica jest w nich różnicą sensu, mamy bowiem do czynienia z odmiennością wypowiedzi. Najłatwiej ten efekt zaobserwować w tekstach religijnych i niektórych naukowych, chociaż w tym ostatnim przypadku z innych powodów (?).

Inaczej w literaturze. Utwory literackie, o których tu mowa, są wypowiedzeniem różnicy, wysłowieniem jej sensu. W tekstach artystycznych, nawet tych słabszych, mowa ma charakter kreatywny i nie da się sprowadzić do roli narzędzia. Tym samym napięcie między sensem a znakiem językowym jawi się jako stan naturalny. W tę różnicę między biegunem żydowskich treści i mową polską wchodzi coś trzeciego: literatura. W ówczesnym piśmarstwie Brandstaettera, w poezji Szymla i Eker, w krytyce Löwa, w pamfletach Imbera, w esejistyce Steina trwa dyskurs

różnicy, znajdującej rozmaity wyraz stylistyczny, różnie tematyzowanej. Lecz zawsze źródłowej i produktywnej. Bywa nazywana różnicą językową między mową polską a mową hebrajską (elegie o mowie hebrajskiej Brandstaettera i Szymla), asymetrią („polski poeta, hebrajski niemowa” – „w nie mojej mowie zgubnie zakochany”: M. Schlanger, M. Szymel). Ale bywa i nie nazywana, nie identyfikowana tematycznie, bywa samą zasadą wymuszającą wypowiedź. Przenosi się wtedy gdzieś na poziom egzystencjalny, trudno uchwytany przez krytykę literacką. Bywa wtedy niepokojem. Szymel pisał w nocie do swojego przekładu wierszy A. Ptaszki (Ani sobie, ani muzom, Warszawa 1936): „Nutą dominującą w jego wierszach jest niepokój. Jest to jedyna, ale zasadnicza nuta żydowska u tego poety. Któż bowiem lepiej wyrazi niepokój epoki schyłkowej, aniżeli Żyd, ten najautentyczniejszy symbol wszelkiego niepokoju, Żyd, stojący sam jeden w wichurze świata, Żyd, będący zaprzeczeniem wszelkich przyjętych i ugruntowanych pojęć”. To bardzo poetyckie – a Szymel był prawdziwym poetą, dla niego ten niepokój tkwił nawet w rytmie wiersza, a bycie Żydem, to bycie różnicą. Niepokój – różnica, to to samo, co Prawo czy Proces u Kafki. Dla poety różnica nie kończy się na wypowiedzeniu prymarnego napięcia między sferą żydowskich treści a nieżydowskim językiem. W innym wierszu Szymel powiada: „(...) I nigdy nie nazwę w swych //wierszach matki mojej imienia, // Bo nie pomieści się smutkiem // w pogodzie słowiańskich słów”. (Z tomu *Powrót do domu*, Warszawa 1931). Ona się dopiero zaczyna. W wierszu, w którym Szymel melancholijnie stwierdza „w nie mojej mowie zgubnie zakochany” (*Genealogia*, w: *Skrzypce przedmieścia*, Warszawa 1932) zaraz potem następuje zadziwiające przejście – konkluzja: „Choć wierszem śmierci nie da się zwyciężyć, // Wiecznie kochamy, wiecznie umieramy”. To przekroczenie mówi coś o sensie różnicy, która jest też sensem poezji.

6

Jaki jest więc sens owej różnicy, która funkcjonuje w piśmiennictwie literackim żydowsko-polskiego obiegu komunikacyjnego? Trzeba pamiętać, że mówimy o fenomenie kulturowym, którego wartość – właśnie jako fenomenowi kulturowemu – jest wyższa niż wartość estetyczna tworzących go tekstów. Że mówimy o tekstach, które zamierzały być wypowiedziami artystycznymi i że mimo wszystko w tym porządku trzeba je umieszczać. Zwróćmy uwagę na pewną prawidłowość. Wystąpienie jakiegokolwiek sensu (tu: wysłowienie żydostwa) jest ściśle skorelowane z mową (tu: językiem polskim).

dokończenie na s. 10

Szatan w Goraju

dokończenie ze s. 7

2

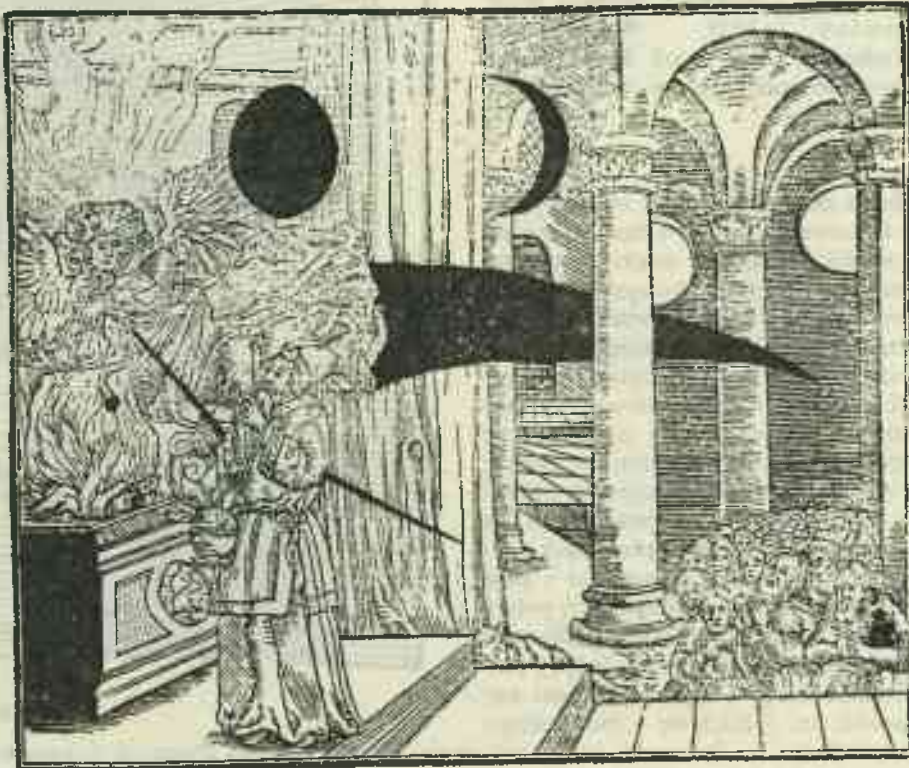
W Lublinie reb Benisz był zajęty dniem i nocą. Tysiące niewiast zostało po roku 1648 i 1649 agunami⁹ i sąd rabinacki nieraz musiał przymknąć oko na prawo i zwolnić je od przysięgi małżeńskiej. W sieni domu, gdzie reb Benisz zasiadał razem z innymi wielkimi rabinami, bez przerwy słyszało się płacz niewiast. Niektóre wędrowały na piechotę od miasta do miasta sprawdzając w pinkasach¹⁰ bractw pogrzebowych, czy nie ma tam zaznaczonych imion ich mężów. Niektóre musiały odbyć chalicę¹¹ i narzekały na szwagrow domagających się zapłaty. Wiele razy zdarzało się, że jakaś niewiasta wyszła za mąż, a potem wrócił jej pierwszy mąż, który wyrwał się z rąk Tatarów, lub którego gmina ze Stambułu wykupiła z niewoli i odesłała do Polski. Kręcili się tam szadcheni, którzy znów kojarzyli pary często nie znając ich wcale i domagali się zapłaty z góry, żebracy szarpali za poły, na pół lub całkiem szaleni ludzie śmiali się, płakali, śpiewali. Płatały się tam także sieroty pozbawione ojca i matki, opuszczone i pokryte parchami, żebrząc i odzywając się zuchwale. Każdego dnia przybywał nowy posłaniec z żydowskiej gminy i opowiadał o przeróżnych nieszczęściach, które pociągnęły za sobą rozboje Chmielnickiego i szwedzkich żołnierzy. Dość często reb Benisz prosił Boga, aby go zabrał z tego świata, bowiem nie miał już sił wy-

słuchiwać o tylu cierpieniach. Tutaj w Goraju panował spokój. Nie było żadnych spraw sądowych, mało pytań dotyczących czystości rytualnej. Z trudem starczało na życie, ale dlatego właśnie miał dosyć czasu dla siebie. Duży pokój rabina, w którym odbywały się sądy był oddzielony od pozostałych izb przez sień i cisza dzwoniła we wszystkich kątach. Wiekowy zegar pomalowany w кіście winogron i owoce granatu sennie wybijał godziny. Świerszcz za glinianym piecem od czasu do czasu cykał jak najęty, długo przysłuchiwał się własnemu echu i zaczynał od nowa, jakby ubolewając nad cierpieniem, którego nie da się zapomnieć. Powąła szerniała od dymu i sprawiała wrażenie jakby chyliła się ku dołowi. Złotawe ściany pokryły się pleśnią i nocą jakby wychodził na nie grzyb, białozielony jak istota nie z tego świata. Na stole leżały niepoliniowane kartki papieru i gęsie pióra. Reb Benisz godzinami siedział pogrążony w myślach, marszczył wysokie czoło i coraz to rzucał spojrzenie ponad żółte zasłanki w oknach, jakby kogoś wyglądał. Chociaż więcej niż połowa mieszkańców ocalała i powróciła do miasteczka, rzadko dobiegały z zewnątrz odgłosy rozmów i zabaw dzieci. Wydawało się, jakby ta garstka Żydów zakradła się tutaj i nadśluchiwała, czy wróg nie nadchodzi, żeby się zemścić.

Reb Benisz dobrze znał swoją wspólnotę. Choć zajęty był stale wzniosłymi myślami, pamiętał o wszystkich, do

każdej niewiasty zwracał się po imieniu, wiedział, jak każdy wygląda. Kiedy reb Benisz przybył – a było to latem – w Goraju panowało pewne ożywienie. Zwożono drzewo z lasu, skrzypiały piły, stukwały młotki, dzieciarnia biegała dokoła. Dziewczeta chodziły do lasów i wracały dźwigając pełne wiadra czarnych jagód i poziomek, ciężkie wiązki gałęzi, kosze grzybów. Dziedzic pozwalał łowić ryby w swojej rzece, we wszystkich domach suszono owoce, żeby starczyło na cały rok na cymes. O zmierzchu, kiedy reb Benisz chodził odmawiać minche¹², powietrze pach-

niało świeżo dojonym mlekiem, dymem z kominów i wieloletnim zasiedzeniem. Reb Benisz wznosił wtedy oczy ku niebu i dziękował Bogu, który ocalił część jego owieczek nie pozwalając im zginąć w całości, jak to spotkało inne gminy. Teraz po Sukot, kiedy zaczęły się chłody, zniszczenie stało się bardziej widoczne. Większość ram okiennych była zabita deskami lub zatkana szmatami. Brakowało ciepłych okryć dla dzieci i dlatego siedzieli w domu i nie chodzili do chederu. Po deszczach w całym miasteczku zostały rozlewiska z mętną wodą i domki od-



STANISŁAW FIJAŁKOWSKI *Postylla - Archanioł Gabriel i Zachariasz 1976*

Ja – polski poeta, hebrajski niemowa

dokończenie ze s. 9

Potęgowanie żydowskiego sensu wypowiedzi musi się odbywać przez potęgowanie języka. Im bardziej potężna jest ta manifestacja, tym bardziej intensywne użycie języka. Takie są prawa sztuki słowa. Aż po sytuację na przykładzie powieści Kafki, gdzie ta manifestacja, nieobecna w strukturze tematycznej, tkwi w strukturze głębokiej. I odwrotnie, im słabszy język, im słabsza kreacja artystyczna, tym słabiej literacko brzmią żydowskie treści. Aż po coś w rodzaju wierszowanej lub fabularyzowanej publicystyki, której brak jednak w wartości wypowiedzi dyskursywnej lub literackiej. Oznacza to, iż mamy do czynienia z relacją przechodności między żydowskim sensem a polską mową. Różnica produkuje tranzytywność biegunów, ich przemienność. Różnica nie ulega zatarciu – ona tylko wprowadza ruch tranzytywny. Formuła tranzytywności tkwi w przytoczonych wyżej fragmentach z poezji Szymła, jest formułą sytuacji społecznej, psychologicznej, egzystencjalnej i kulturowej literata publikującego w obiegu żydowsko-polskim. Tytułowe określenie „literatura polsko-żydowska i żydowsko-polska” jest tej formuły wyrazem. Fundamentalna różnica – fundamentalna przechodność. Przyjrzyjmy się stylistyce owej tytułowej formuły: odwrócona symetria członów. Jest to stylistyczna formuła chiazmu. Formuła tranzytywności znajduje swój kształt w formule chiazmu. Sądję, że jest to uniwersalna formuła piśmiennictwa literackiego powstającego w obiegu żydowsko-polskim. Obecna w stylistyce, w myśleniu, w aksjologii. Chiazm, figura retoryczna, jest figurą egzystencjalną, figurą różnicy („polski poeta, niemowa hebrajski”). Odnajduję ją u dr. Edmunda Steina, historyka i eseisty, wykładowcy Instytutu Judaistycznego w Warszawie, w książce

opublikowanej w 1939 roku – *Idealy judaizmu* – stanowiącej jakby ostatnie słowo, niezamierzone podsumowanie tego piśmiennictwa. Formuła chiazmu znajduje się w tytule jednego z esejów: *Naród Mesjasza i Mesjasz narodów*. Oto różnica czytelna tylko w kontekście mesjanizmu żydowskiego i mesjanizmu polskiego, ale jest to formuła – chociaż tak patetyczna – wieloznaczeniowa.

Zasada chiazmu – obok odwróconej symetrii – jest też różnicujące powtórzenie. I u Steina ta formuła pojawia się jeszcze raz na końcu eseju, stanowiąc klamrę kompozycyjną i myślową „Naród Chrystusa i Chrystus narodów”. Ta sama figura, ta sama różnica, a jednak i nowy odcień, subtelnie stylistycznie zasugerowany: Mesjasz – Chrystus. To są te same i nie te same formuły. Między nimi też jest relacja chiazmu. Niech mi będzie wolno pójść nieco dalej: po doświadczeniach Holokaustu pojawił się w literaturze wątek dostrzegający w losach Żydów los Chrystusa (Rudnicki, Grynberg). Naród Mesjasza stał się w swych cierpieniach Chrystusem narodów. Różnica odkrywa nowy wymiar tranzytywności, chiazm wyraża nowy sens.

7

Wracajmy jednak do literatury polsko-żydowskiej i żydowsko-polskiej. Teraz wiemy, że nie są to ani dwie różne literatury w obrębie jednego piśmiennictwa, ani dwie różne nazwy tego samego, ani nawet

dwa różne punkty widzenia, lecz – wyrażona w formie niezbyt wygodnej – istota tej literatury. Jej miejsce.

A jest to miejsce szczególne. I taka też sytuacja. Literatura polsko-żydowska i żydowsko-polska jawi się jako ostatnie getto żydowskie w Polsce. Getto – straszne słowo, sam nie miałbym ani prawa, ani odwagi kojarzyć go z literaturą. Taki obraz pojawia się u Szlenga, poety warszawskiego getta (pisał w przedmowie *Do polskiego czytelnika*: „Wiersze, w które wejście, moi drodzy, bez opasek, to dżungla, w której nielato znaleźć drogę”). Obszar wykluczony wszechstronnie. W płaszczyźnie świadomości, wiedzy: w *Słowniku współczesnych pisarzy polskich* myli się krytyka i tłumacza Izidora Bermiana ze stalinowskim działaczem komunistycznym Jakubem Bermanem. W *Encyklopedii Judaica* – o ile mnie pamięć nie zawodzi – żydowski i polski poeta M. Szymel nie ma swego hasła, ma je natomiast Eugeniusz Szyr. Marginalia piśmiennictwa żydowskiego i polskiego – zapewne. Lecz margines ów jest aktywną różnicą, która stawia kwestię wcale nie marginalnie. Jedna

Maurycy Szymel

Rzeczy żywe

Kocham w wierszu rzeczy żywe:

Stół. Panny w wiśniowych kapeluszach. Zimę.

Kwitnące śliwy. Ptaki.

Jerozolimę.

Kocham wszystko, co było, co jest i co się w śmierci

mgłą zasuwa

Ewę, której łono pamiętam, Jerycho, które zdobywałem,

Wysoki zamek we Lwowie, gdzie brzozy wierszami

mojemi szumią

I głaz na moim grobie, którego spokój już w sobie

przeczuwam.

Bo wiem: wszystkie rzeczy żywe

Przeczą śmierci, której żywe imię pogrzeb:

Dlatego jest pannom w wiśniowych kapeluszach,

Śliwom szczęśliwym

I mnie –

Dobrze.

[*Wieczór liryczny*, Warszawa 1935]

bijały się w nich wraz ze wszystkimi łatami w ścianach i dachach. Żniwa były skąpe, zebrano trochę żyta, ale nie było go gdzie zemleć, bowiem arendarz dziedzicowego młyna zginął razem ze swymi domownikami. Słuzby były zniszczone, grobla rozdeptana. Żeby mieć kawałek chleba, ręcznie mielono ziarno w dębowych żarnach i pieczono ciężkie placki nad otwartym płomieniem. W wielu rodzinach nie kosztowano ani kawałka chleba. Reb Benisz wiedział o tym i nie mógł nic poradzić.

Na domiar tych wszystkich nieszczęść w domu reb Benisza nie ustawały kłótnie tłące się bez ustanku od lat, jeszcze sprzed roku 1648.

Najstarszy syn rabina, reb Ojzer był nieudacznikiem, kiepskim talmudystą i próżniakiem. Miał już prawie pięćdziesiąt lat i ciągle jeszcze siedział na garnuszku rabina razem z żoną i dziećmi. Był wysoki, chudy, przygarbiony, szybki i narwany. Zniszczoną lisią czapę miał wiecznie przekrzywioną, jakby nałożył ją w pośpiechu, koszulę rozchełstaną, chałat rozpięty i upstrzony plamami. Nos miał zakrzywiony jak dziób, duże ptasie oczy i brodę koloru słomy, stałe rozwidzane jak na wietrze. Przed rokiem 1648 przesiadywał całymi dniami w szynku lub karczmie, grał w szachy albo nawet i kości z różnymi przybłędami, znajdował przyjemność w słuchaniu rozmaitych nowinek i plotek. O żonę i dzieci się nie troszczył, o żadne praktycznie rzeczy nie dbał, zawsze trzymał kawałek kredy w palcach i na wszystkich szafach i stołach kreślił jakieś obliczenia, robił kreseczki i kółeczka... Reb Benisz nie lubił go, rzadko się do niego odzywał. Jakby nie dość było tego dobrego, Ojzer często przesiadywał w kuchni między kobieta-

mi, grzał się przy piecu i zaglądał do garnków. Rebecin¹³, matka, wyganiała go stamtąd miotłą, krzycząc:

– Osioł! Wstyd przed ludźmi!... Ty podlec!...

Lewi, najmłodszy, miał trzydzieści parę lat i stanowił zupełne przeciwieństwo swego brata. Był niski, czarny jak Cygan; dbał o swój wygląd i miał o sobie wysokie mniemanie. Okrągła bródka była zawsze uczesana, pejsy zawiadano zakręcone. Chodził w jedwabnym kwiecistym szlafroku oblamowanym aksamitem, w kobiecych bamboszach ozdobionych chwaścikami i w nowiutkiej futrzanej czapie. kroczył niespiesznie, z innymi członkami rodziny mało się zadawał, rzadko zachodził do ojca. Rebecin wysyłała mu do jego znajdującej się na piętrze izdebki różne łakocie, dogadzała mu i go rozpieszczała, wzbudzając tym samym zazdrość pozostałych dzieci. Do tego wszystkiego miał Lewi za żonę bogatą jedynaczkę i to z dobrego domu. Jej ojca zamordowano w Narolu podczas rzezi, a jego majątek zrabowano. Mimo to żona Lewiego prowadziła życie jak za dawnych dobrych czasów: wylegiwała się w łóżku do późna i czekała aż jej świerka przyśle mleko z kozuchem. Chociaż była bezpłodna, uważała siebie za coś lepszego. W powszednie dni zakładała jedwabną chustkę, wieszała w uszach wielkie złote kolczyki. Kościste palce oblepione były pierścionkami. Chuda, z zapadłą piersią, o pańskim wyglądzie, z niezdrowo czerwonymi policzkami i zapłakanyymi oczami nie przestawała mieć pretensji, że trafiała do tak prostego domu; jej wąskie złośliwe wargi bez przerwy coś marmotały, marszczyła nos jakby ciągle drażnił ją jakiś zapach. Pokój, który im przypadł w udziale wystroił przeróżnymi cudenkami. Wisiały tam wszelkiego ro-

dzaju wizerunki haftowane na płótnie: ofiara Abrahama, Mojżesz z Tablicami, Kapłan Aron w ornacie i napierśniku, menora. Na łózkach leżały jedwabne poduszeczki. Okno było zasłonięte gęsto haftowaną kotarą i dlatego wewnątrz zawsze panował półmrok. Nechele kręciła się po domu w haftowanej narzutce jak dziedziczka, z miotką z piór szukała kurzu i pajęczyn, i mówiła jęczącym głosem do swego męża Lewiego podtrzymując tym sposobem ogień kłótni.

Żona i dzieci Ojzera nosiły zwykłe odzienie, gnieździł się razem w ciasnocie, jedli w obszernej kuchni wraz ze służącą. Oprócz nich było tam jeszcze kilkoro sierot po córkach zmarłych w Lublinie w czasie zarazy. U rabina rezydowała także córka rozwódka. Wszyscy razem prowadzili cichą wojnę przeciwko Lewiemu i jego żonie przenosząc swoją niechęć na rebecin, bo dlaczego niby tak mu dogadza. Wszyscy skakali sobie wzajemnie do oczu i kopali pod sobą dołki; Nechele i żona rabina, Nechele i szwagierki, obydwa bracia między sobą, sieroty z babką, z wujami i ciotkami, i między sobą nawzajem. O Nechele mówiono, że rzuciła urok na męża, żeby ją kochał i popierał jej złe postęпки. Żona Ojzera zaklinała się, że każdej szabasowej nocy Nechele wychodzi zbierać zioła. Spotkano ją też raz, jak szła do czarownicy Kunegundy mieszkającej za miasteczkiem obok chrześcijańskiego cmentarza. W dawnych czasach reb Benisz próbował doprowadzić do zgody. Bał się grzechu kłótni, wiedział, że wszelkie kary przychodzą na dom w wyniku takiego postępowania. Teraz stary rabin nie miał już na to sił. Pozostało mu niewiele lat życia, a było jeszcze dużo do poprawienia. Powinien dokończyć kilka ksiąg. Poza tym gorzkie wydarzenia roku 1648 i 1649

sprawiły, że od nowa budziły się w nim odwieczne pytania dotyczące wiary, wiedzy i wyboru, cierpienia sprawiedliwych. Reb Benisz siedział zamknięty na klucz, nie przychodził już więcej na noc do sypialni żony. Kiedy komuś z rodziny zdarzyło się dostać do pokoju rabina i zaczynał obgadawać i donosić, reb Benisz wstawał na całą wysokość, broda wila mu się jak żywa, jedną ręką uderzał cybuchem fajki w stół, a drugą wskazywał na drzwi.

– Wynosić się! – krzyczał. – Nie chcę już tego więcej słuchać!... Natrętne muchy...

Isaac Bashevis Singer
Przełożyła z jidysz:
Monika Adamczyk-Garbowska

¹ gaon – genialny, określenie stosowane wobec wybitnych rabinów.

² parnes – jeden z wybranych przywódców gminy żydowskiej.

³ kahal – gmina żydowska.

⁴ reb – tytuł grzesznościowy, odpowiednik polskiego „pan”.

⁵ cycesy – frędzle zwisające z czterech rogów talesu.

⁶ tales kutn – mały tales noszony pod ubraniem przez pobożnych Żydów w odróżnieniu od talesu zakładanego w czasie modlitwy.

⁷ klezmerzy – muzykanci.

⁸ szadchen – swat.

⁹ aguna – opuszczona żona.

¹⁰ pinkasy – księga pamięci, rejestr mieszkańców.

¹¹ chaliza – zwolnienie z obowiązku poślubienia bezdzietnej wdowy przez zwagira.

¹² minche – modlitwa popołudniowa.

¹³ rebecin – żona rabina.

Dziękuję Panu Adamowi Bieleckiemu z Żydowskiego Instytutu Historycznego za życzliwą pomoc. Czość przygotowywana jest dla Wydawnictwa Dolnośląskiego.

z takich kwestii brzmi: o ile język stanowi siłę łączącą a sens dzielącą; o ile sens stanowi siłę łączącą a język dzielącą? Wydaje mi się, że takie pytanie stawia dzisiaj to piśmiennictwo. Gramatyka tych fraz ma budowę symetryczną; nie wiem czy problemy są też symetryczne. Getto, oddzielone murem języka, zasiekami treści, jest tym niepokojem, który odczuwał Szymel, jest pytaniem o różnicę i jej sens. Jeden z jej sensów głosi: pogranicze znajduje się w środku. Literatura, o której mówię, sytuuje się w środku polsko-żydowskiego i żydowsko-polskiego spłotu. Getto jest zawsze w środku. Sens różnicy. Sens różnicy, która ciągle ożywia teksty Brandstaettera, Eker, Pomer, Vogel i innych, znaczenie narzucające się nieodmiennie badaczom tego piśmiennictwa: „inne w naszym” – „nasze w innym”. Bezgłośny postulat moralny: we własnym dostrzegać inne, szukać własnego w innym.

Utwory literackie z kręgu tego piśmiennictwa stanowią obszar dramatycznej transgresji. Ambiwalentna przestrzeń przekroczenia, które zawsze odsłania się także jako wykroczenie, jako wyzwanie. W literaturze tej przemawia po raz pierwszy po polsku Żyd jako podmiot i przedmiot swej wypowiedzi. Dotychczasowe, neliiterackie piśmiennictwo, a tradycja jego w Polsce jest przecież o wiele starsza niż tradycja literatury, naznaczone jest po pierwsze piętnem instrumentalnej funkcji języka, po drugie – nie ma tej mocy wyrażania podmiotu, co wypowiedź literacka. Rola wypowiedzi literackiej w każdym systemie kultury pod tym względem jest wyjątkowa. Więc prawdą jest, że dopiero w literaturze polsko-żydowskiej i żydowsko-polskiej mówi Żyd po polsku. Taką świadomość mieli niektórzy pisarze z tego kręgu, zwłaszcza Brandstaetter („Sprawa poezji polsko-żydowskiej. Artykuł dyskusyjny. Kłody pod nogami”, „Opinia” 1933 nr 25). Zaznaczmy, że tę podmiotowość trzeba rozumieć szerzej. Żyd jako Żyd przemawia na wielu poziomach, świadczy o swojej obecności nie tylko przez oświadczenia, przez konkretyzację podmiotu literackiego, ale i przez cały system kulturowo-komunikacyjny, który wzmacnia jego podmiotowość. Literatura jakby kumuluje i reprezentuje cały obieg piśmiennictwa żydowskiego w języku polskim. Podmiot żydowski odsłania się jako Inny. Ów archetypowy Inny. Różnica, tranzytywność, chiazmy ujawnia się jako różnica inności osobowej. Abstrakcyjna inność, abstrakcyjna różnica, abstrakcyjne środkowo-marginalne położenie przemawia konkretnym głosem Innego, Żyda, poety. Sens różnicy okazuje zdumie-

wające w swej oczywistości oblicze: Twarz Innego – żeby odwołać się do terminologii i myśli E. Levinasa. Różnica jest ten, który mówi (ciągle odwołuję się do tego samego wiersza Szymela): „Ja układacz wierszy”, „ja (...) w nie mojej mowie zgubnie zakochany”, czy wreszcie w formie najszerzej „ja polski poeta, ja hebrajski niemowa”.

Jego Twarz, twarz poety, który wie, że „wierszem śmierci nie da się zastąpić” została wytatuowana na ciele mowy, jego zgubnej miłości. „Wiecznie kochamy, wiecznie umieramy”... Jest to miłosny tatuaż, bardzo delikatny, więc muszę się jeszcze raz podeprzeć wierszem. Wierszem A. Śluckiego dedykowanym pamięci Szymela:

Maurycy,
umarły poeta z umarłej ulicy,
nie daje mi spokoju we śnie ni na jawie.
Ciągnie mnie za rękaw (...)

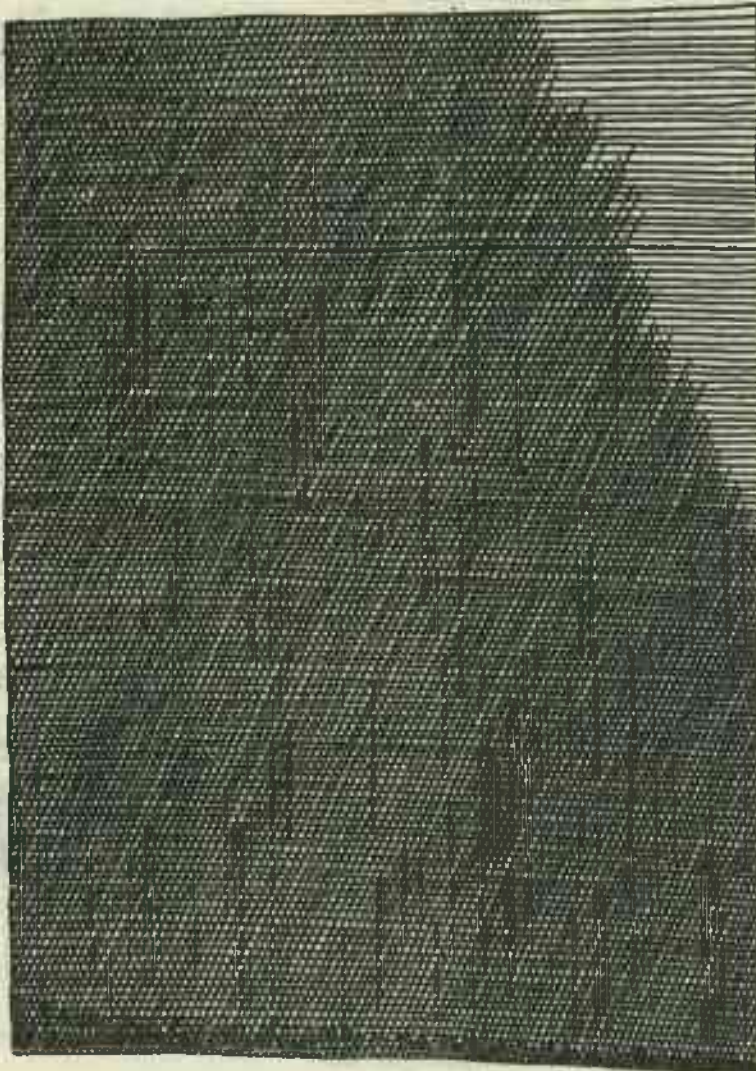
(„Umarły poeta”, w: *Promienie czasu*, Warszawa 1959)

Tatuaż można usunąć – jak wiadomo – tylko chirurgicznie, ale powstanie blizna. Wzór wyryty w mowie, zwłaszcza literackiej jest nieusuwalny, bo trzeba by usunąć takie słowa jak „Żyd”, „inny”. Są blizny po bliznach, są umarli poeci, którzy nie dają spokoju, ciągną za rękaw... Można powiedzieć, że w literaturze polsko-żydowskiej i żydowsko-polskiej została zapisana praktyczna interakcja, że dla każdego z twórców piszących w tym kręgu dokonała się ona w kreowanym tekście. W latach 1918-1939 miała miejsce interakcja z opóźnionym działaniem. Ostatnia już lekcja: obecność różnicy jest jedyną formą interakcji w rzeczywistości podmiotowej, czy to etycznej, czy to literackiej. I tu też nauka moralna, która płynie z literatury polsko-żydowskiej i żydowsko-polskiej: etyka poprzedza poetykę. Powoli odsłaniany tatuaż...

Paul Riceur mówił kiedyś: symbol daje do myślenia. Dzisiaj odkrywamy, że tak naprawdę to różnica daje do myślenia, myślenia z wnętrza różnicy, która jest spotkaniem w sercu chiazmu: oddzielając łączy, łącząc oddziela.

Władysław Panas

* Referat wygłoszony podczas międzynarodowej konferencji: *Historia i kultura Żydów polskich*, Jerozolim.



STANISŁAW FIJAŁKOWSKI XVI Studia talmudyczne

Samuel Willenberg

Droga w nieznane

dokończenie ze s. 5

jude¹⁰. Jest to więzień z żółtą opaską na ramieniu z napisem „Goldjude”. Zadaniem tych więźniów jest zbieranie i sortowanie złota, biżuterii i pieniędzy. Zaliczają się oni do elity więziennej. Ich praca jest stosunkowo najspokojniejsza. Siedząca, w zamkniętym, ciepłym baraku. Ich szefem był sudecki Niemiec, Suchomil¹¹. Mówił dobrze po czesku. Zatrudniał u siebie w większości czeskich Żydów, którzy przyjechali tutaj z Terezina. Byli specami w swoim zawodzie. Ich zadaniem było odbieranie od świeżo przybyłych na plac transportowy drogocennych przedmiotów. Inna ich grupa kręciła się po placu sortowania odzieży i tam odbierała od nas drogocenne rzeczy, które myśmy znajdowali wśród odzieży. Żaden z więźniów nie miał prawa wstępu do baraku, w którym Goldjudeni sortowali biżuterię, pieniądze i drogocenne przedmioty. Goldjudeni byli stosunkowo lepiej ubrani niż reszta więźniów. Nosili eleganckie palt i barwne szaliczki. Wyglądali raczej na bankierów niż na więźniów; w skórzanych rękawiczkach na rękach, z teczkami, w które wrzucali wyjęte z ubrań przez sortujących więźniów drogocenności.

Tak poniewierały się tutaj codziennie kilogramy złota i brylantów. Tysiące złotych zegarków. Miliony monet narodów całego świata. Nawet chińskie. Papiery wartościowe, jakieś akcje różnych towarzystw całego świata razem ze zdjęciami rodzinnymi szły na spalenie.

I tak sortowało się dzień za dniem. W pewnej chwili doszedłem do wniosku, że nie wytrzymam dłużej ani fizycznie, ani psychicznie pracy przy sortowaniu odzieży zdartej z wymordowanych Żydów. Postarałem się o spotkanie z Galewskim. Przrzekł mi, że mnie przeniesie do pracy w magazynie. I rzeczywiście, po krótkim czasie moja praca polegała na tym, że brałem od więźniów, którzy sortowali odzież, gotową paczkę palt, związaną i skontrolowaną przez nich poprzednio. Paczki te zanosłem między plac transportowy a wał z piasku, który był granicą naszego obozu. Układane przeze mnie na ziemi paczki tworzyły coraz większą stertę.

Jedną z największych zalet mojej pracy był fakt, że byłem samodzielny. Żaden forarbaiter nie stał nade mną. Spokojnie układałem tysiące palt. Nie miałem co prawda do kogo ust utworzyć, ale było to dużo lepsze niż stałe narażanie się na bicie i strzały esesmanów w sortowni. Byłem zadowolony ze swojej nowej pracy, pomimo faktu, że nie miałem już dojścia do żywności. Poprzednio w prawie każdej paczce znajdowałem coś do jedzenia. Obecnie przez moje ręce przechodziły tylko palt.

Niektórzy więźniowie wyspecjalizowali się w różnych dziedzinach. Dla przykładu mieliśmy specja od wiecznych piór. Był nim często chowianin Kudlik. Miał on zawsze schowane najlepsze wieczne pióro i wiedział, komu i kiedy warto je dać. Na ogół otrzymywali je esesmani albo forarbaiterzy. Niejednokrotnie widziałem, że otrzymuje on za wieczne pióro ze złotą stalówką (możliwe, że wewnątrz wypełnione brylantami) sma-

cznego sandwicza. Chował to sobie na później. Była to zasadniczo jedyna rzecz, którą mu wolno było otrzymać.

Paradoksalny był fakt, że Ukrainiec, który miał mnie pilnować i w razie potrzeby bić, nie miał prawa ze mną rozmawiać ani się do mnie zbliżyć. A tym bardziej nie wolno mu było ode mnie niczego otrzymywać. Esesmani trzymali Ukraińców krótko. Nie mogli sami przebywać na placu ani niczego stamtąd zabierać. Zabraniano im kontaktu z więźniami. W tym wypadku myśmy byli górą. Przez nasze ręce przechodziły miliony, a Ukraińcy żebraли u nas, aby im dać trochę dolarów czy złota. Potrzebowali tego, aby móc te skarby wymienić i przepuścić po służbie u okolicznych chłopów. Swoje wolne chwile spędzali przy kielichu z prostytutkami. Te ostatnie sprowadzano dla nich specjalnie z Warszawy. Czasami okoliczni chłopcy oddawali im swoje własne córki za garść złota. Za te cenne dary często obdarzali ich w zamian dordne dziewczęta syfilisem albo w najlepszym wypadku tryprem. (...)

W pogodny kwietniowy dzień do Treblinki dojechał transport, który bardzo nas zdziwił swoim wyglądem. Wagony były w opłakanym stanie: powyrywane deski z różnych części wagonów, moc uszkodzeń. Na dachach leżeli uzbrojeni po zęby ukraińscy strażnicy z karabinami gotowi do strzału. Strzelali natychmiast, gdy tylko z wagonu wychyliła się zalek-niona twarz. Zdawało się, że w drodze stoczono z uwięzionymi Żydami gwałtowną bitwę. Niemcy po raz pierwszy mieli zastosować nowy system rozbierania przybyłych na zagładę. Oprócz „Czerwonych”, którzy znajdowali się jak zwykle na placu i rozdawali sznurki do wiązania butów, sprowadzono dodatkowych więźniów, którzy normalnie pracowali przy sortowaniu odzieży. Ustawiono ich na placu transportowym razem z „Czerwonymi”, trójkami. Odległości pomiędzy poszczególnymi trójkami były niewielkie.

Gd wypędzono nowo przybyłych z wagonów i skierowano tłum na plac transportowy, rozkazano im zdejmować z siebie kolejno poszczególne części garderoby i oddawać je więźniom. Pierwsza trójka więźniów odbierała płaszcze, druga marynarki, trzecia spodnie, kalesony i buty. Ten taśmowy system miał w mniemaniu esesmanów usprawnić pracę. Tego dnia wyszła na jaw tchórzliwość esesmanów. W czasie zdawania ubrań przez przybyłych nastąpiła w pewnym momencie eksplozja. Prawdopodobnie jeden z przybyłych ukrył w kieszeni granat, odbezpieczył go w czasie oddawania marynarki i rzucił marynarkę wraz z granatem. Granat zranił trzech więźniów pracujących na placu i kilku nowo przybyłych.

Na placu powstał nieopisany zamęt. Najbardziej przestraszyli się Niemcy. Z placu natychmiast poznikali wszyscy esesmani. Jakże tchórzliwie i śmiesznie wyglądał tym razem zawsze groźny i „nieustraszony” „Cep”, gdy w panicznym lęku biegł skulony przez plac jak przeganiany pies. Chyłkiem wybiegali z ludzkiego kłębówiska strażnicy i Ukraińcy. Nic się jednak nie wydarzyło. Dopiero po kilku minutach, gdy Niemcy

ochłonęli, esesman „Kiwe” wpadł na plac i nakazał rannych więźniów odnieść do lazaretu. Rozkaz został spełniony przez nas tylko połowicznie. Wynieśliśmy ich co prawda z placu, ale zamiast do lazaretu zanieśliśmy ich wbrew rozkazowi do baraku, który przylegał do peronu. Po schodkach znieśliśmy ich na dół i ułożyliśmy na stercie posortowanej odzieży. Działaliśmy pod wpływem impulsu. Możliwe, że eksplozja na placu dała nam siłę sprzeciwienia się rozkazowi esesmana. Podświadomie obawialiśmy się, że zranieni koledzy są dla nas straceni i że wykończy ich strzał w potylicę.

Tymczasem Niemcy przeszli nad wypadkiem do porządku dziennego. Udawali, że nie zauważyli, że ich rozkaz nie został wykonany. Nie reagowali nawet na to, żeśmy ich potem przenieśli do rewirsztuby, gdzie nasi lekarze otoczyli ich troskliwą opieką. Wydarzenie to było dla nas rewelacyjne i nieprawdopodobne. Wyglądało na to, że Niemcy się nas boją. Nagle zdawało się nam, że jesteśmy siłą. Tego dnia dowiedzieliśmy się od nowo przybyłych, że w getcie warszawskim wybuchło powstanie. Wiadomość ta podziałała na nas piorunująco. Już wcześniej wiedzieliśmy, że w stolicy znajduje się grupa Żydów zdecydowanych na prowadzenie bezwzględnej walki na śmierć i życie. Wiedzieliśmy, że i tam konspiracja przygotowywała grunt pod zorganizowanie ruchu oporu. Wiadomości o życiu i warunkach wegetowania w getcie otrzymaliśmy od ludzi wyjętych z transportów styczniowych. Omawialiśmy je i dyskutowaliśmy na ich temat po nocach na naszych pryczach. Zamknięci w obozie, żywo interesowaliśmy się wszystkim, co się dzieje na zewnątrz. Warszawa była centrum naszych nadziei i naszych ci-chych marzeń. I oto nagle dowiadujemy się, że na wyludnionych ulicach warszawskiego getta rozpalil się ogień buntu. Trzask karabinów maszynowych miesza się z hukiem pękających granatów. Wyobrażaliśmy sobie tę walkę bezwzględną i zjadłą. Sercami byliśmy przy powstaniach. Niepokoił nas los bohaterów getta warszawskiego. Powstanie żydowskie zagroziło nam, wlało w nasze żyły nową moc i nowe decyzje. Okrzepiliśmy, chcieliśmy również działać, nie dawać się prowadzić na śmierć. Wieczorem w barakach wrzało jak w ulu. Na każdej pryczy siedziała grupka więźniów i przyciszonymi głosami dzieliła się swoimi spostrzeże-

niami i uwagami. Byliśmy wszyscy podnieceni i wytrąceni z codziennej tragicznej szarzyzny obozowej. Nasze własne cierpienia odsunięte zostały na drugi plan. Emocjonowaliśmy się fantastycznymi przypuszczeniami i teoriami, opanowała nas jakaś przemożna gorączka działania. Coraz bardziej krystalizował się i dojrzał plan rozbicia Treblinki. Gremialnego porwania się z bronią w rękę na naszych oprawców.

Od ludzi, których wyjęto z następnych transportów warszawskich, dowiedzieliśmy się, że powstanie w getcie nadal trwa, że Żydzi walczą dzielnie z Niemcami i że zadają im ciężkie straty. Dowiedzieliśmy się, że Niemcy palą dom za domem, o dziejących się tam dantejskich scenach. Słuchaliśmy o ludziach wyskakujących z wysokich pięter płonących domów, o bohaterskich walkach, w których brały udział również kobiety i dzieci. W tym okresie esesman „Lalka” wyjechał na kilka dni z obozu. Po powrocie podszedł do Golda i powiedział, że przywiózł ze sobą jego przedwojenne płyty. Artysta na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje i z radością w głosie opowiadał mi o przywiezionych nagraniach jego orkiestry. Nie chciało mi się go przywracać do rzeczywistości. Niech jeszcze przez chwilę buja w obłokach. (...)

¹ Od niem.: *Baukommando* – oddział budowlany.

² Od niem.: *Baumeister* – kierownik baukommando.

³ *SS Sonderkommando Treblinka* (niem.) – SS specjalne komando Treblinka.

⁴ Galewski – inżynier z Łodzi, był pierwszym żydowskim „komendantem” Treblinka, a także członkiem komitetu organizacyjnego przygotowującego powstanie więźniów. Zginął w trakcie ucieczki.

⁵ Od niem.: *Zettel* – kartka

⁶ Pseudonim *Oberscharführera* Kurta Küttnera.

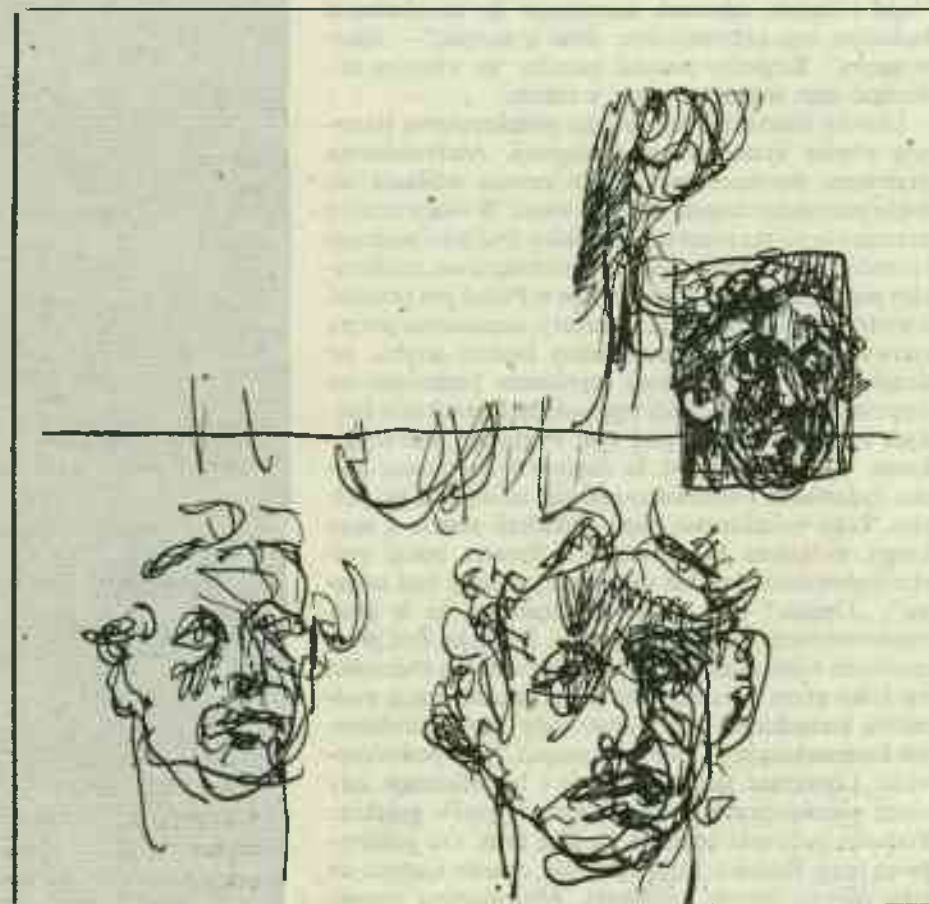
⁷ Od niem.: *Vorarbeiter* – przodownik, kierownik

⁸ *Arbeiten! Schneller!* (niem.) – Pracować, szybciej!

⁹ Od niem.: *Lazarett* – szpital polowy.

¹⁰ *Goldjude* (niem.) – złoty Żyd, członek komanda Goldjudenów, zajmującego się sortowaniem biżuterii i złota.

¹¹ *Unterscharführer* Franz Suchomel, nadzorca komanda Goldjudenów.



JERZY ŻYSKO

Trzeci kanał

rozmowa z Krzysztofem Zanussim

26-27 marca 1991 odbyła się w Treście konferencja zorganizowana pod hasłem *Nowe granice audiowizualne*, w której wzięli udział przedstawiciele europejskich rządów, specjaliści, artyści i przedsiębiorcy związani z mediami audiowizualnymi. „Corriera della Sera”, zamieścił (26-27 marca) omówienie konferencji. Można tam przeczytać o konieczności włączenia Europy Wschodniej w realizację programu *Eureka*, konieczności wynikającej z niebezpieczeństwa jakim jest potraktowanie krajów Europy Wschodniej wyłącznie jako rynku zbytu, a nie jako partnerów, którzy powinni zostać włączeni w obieg wymiany kulturalnej związanej z mediami audiowizualnymi (wypowiedź Massimo Fischera, RAI). Przytaczając wypowiedź Pawła Czuchraja (ZSRR), który opisywał inercję filmowców radzieckich, Krzysztofa Zanussiego, który mówił o pustych studiach w Warszawie i o inwestowaniu w młode talenty, Jiří Pelikana (Czechosłowacja), który wspominał o nowej formie cenzury, pojawiającej się w Europie Wschodniej w związku z brakiem środków finansowych i technologicznych i Claudio Martelliego, który przedstawił propozycje zmierzające do stworzenia ogólnoeuropejskiego rynku kulturalnego i informacyjnego, „Corriera della Sera” sugeruje istnienie dysonansu w pojmowaniu jedności Europy przez jej mieszkańców. Niżej zamieszczamy rozmowę z Krzysztofem Zanussim.

– Jaki był cel konferencji?

– Była to kolejna robocza konferencja związana z programem *Eureka*. Program ten został powołany do życia dwa lata temu. Uczestniczyłem w jego powołaniu, więc naturalną drogą znalazłem się teraz wśród zaproszonych gości. Ma ona na celu ożywienie wymiany audiowizualnej na obszarze Europy przeprowadzonej w dwóch płaszczyznach: programowej i technicznej.

Co do technologii sprawa jest prosta. Chodzi o wprowadzenie europejskiego standardu TV wysokiej rozdzielczości (czyli High Definition). W sferze programowej chodzi o to, żeby zapobiec temu, co stało się w latach osiemdziesiątych, że całą Europę jednoczą amerykańskie programy (w niektórych krajach, w kinach i TV, sięgają 80%). Telewizja stała się środkiem pokazywania amerykańskich programów na japońskich telewizorach. Ta utrata suwerenności kulturalnej Europy jest dramatem. Szereg krajów (z inicjatywy Francji i prezydenta Mitteranda) próbuje temu przeciwdziałać poprzez ożywienie wymiany programów między poszczególnymi krajami Europy. Jest to ożywienie o tyle nielatte, że zdeterminowane trudnościami językowymi. Rynek języka angielskiego jest ogromny w stosunku do wszystkich rynków europejskich. Dlatego programy w języku angielskim są rentowne w swoim obszarze i wszędzie indziej mogą być sprzedawane po cenach, które wydają nam się dumpingowe. Natomiast wymiana programów europejskich jest przez to samo bardzo trudna. Jednym z elementów programu *Eureka* jest powołanie wspólnego europejskiego programu informacyjnego (czegoś co byłoby odpowiednikiem CNN czy SKY w wymiarze europejskim), ale prace nad tym posuwają się dosyć powoli.

– Na jakiej zasadzie odbywają się konferencje Eureka?

– Co jakiś czas ministrowie kultury i informacji z udziałem ekspertów, do których i ja jestem zaliczony, spotykają się na takich konferencjach.

– W jakim stopniu zaawansowania znajduje się program Eureka?

– Zależy, który z tych programów. Jeśli chodzi o program techniczny to – z jednej strony, z relacji przedstawicieli Philipsa czy Thompsona, wynika, że jest bardzo zaawansowany i przekonuje nas natychmiast, kiedy oglądamy

zauważalnych efektów, ale może tak naprawdę on jeszcze nie nastąpił?...

– Jakie znaczenie dla Europy Wschodniej i dla Polski mógłby mieć w przyszłości ten program?

– Z Europy Wschodniej to ja wracam, bo byłem wczoraj w Rosji. Nigdy w niej nie mieszkałem i nie mam z nią wiele wspólnego. Europa Wschodnia jest to Europa bizantyjska. Jest to Europa Rosji, Ukrainy, Bułgarii, Rumunii, Serbii. Jak Pan może używać zwrotu „Europa Wschodnia”, wiedząc, że jest on dla Pana obraźliwy? My na wszystkich tych zebraniach zgłaszamy formalne wnioski, protestujemy wychodząc z sali, mówiąc, że jest to terminologia sowiecka wprowadzona po Jalcie dla podkreślenia aneksji Europy Środkowej przez Związek Radziecki. Ktoś, kto się na tę terminologię zgadza, wyraża zgodę na tę aneksję. Ani geograficznie nie byliśmy Europą Wschodnią, ani nie byliśmy nią kulturalnie (co w odniesieniu do tematu naszej rozmowy ma znaczenie), ani dzisiaj nawet nie jesteśmy nią ekonomicznie, więc dlaczego u diabła mamy identyfikować się z Moskwą? To jest problem tożsamości.



JACEK GAWŁOWSKI

jego pokaz. Natomiast, kiedy na rynku pytamy o jego efekty, pojawiają się wątpliwości. Z naturalnym sceptycyzmem żywię obawę, czy skłócona, niezdecydowana i kapitałowo szalenie ostrożna Europa, zdąży wejść ze swoim produktem, zanim rynek przestawi się już na technologię japońską czy amerykańską. Ta, poprzez wideo wchodzi coraz głębiej w Europę, a następnie będzie zmuszała emitentów telewizyjnych do przyjęcia innej technologii. Tego się obawiam, aczkolwiek nie wiem, co będzie.

Życzę programowi *Eureka* jak najlepiej, ale żadnych dowodów, że on się dobrze skończy, jeszcze nie mamy.

– A od strony programowej?

– To wygląda jeszcze gorzej. Poza wzajemnym narzekaniem, nie widać objawów tego europejskiego ożywienia, na które wszyscy bardzo liczymy. Również w związku z wejściem w obszar Europy całej rzeszy ludzi i krajów po obaleniu muru berlińskiego.

Ten impuls nie daje na razie jakichś

– Powróć do poprzedniego pytania o szansę zrealizowania programu w naszej części Europy, jeżeli weźmiemy pod uwagę brak prywatnych kanałów telewizyjnych...

– Mamy prywatny kanał wrocławski! Pierwszy prywatny kanał w byłym bloku sowieckim, działający od roku i to bardzo dobrze działający. Trzeba być z czegoś dumnym. Jeżeli cokolwiek udało się w Polsce zrobić, to potem nawet nie umiemy się tym pochwalić.

Telewizja państwowa jest w stanie bardzo dramatycznych przemian, które powodują, że staje się ona nieokreślonym organizmem. Nie bardzo wiadomo, jak rozmawiać z ludźmi go tworzącymi. Brakuje nam trzeciego kanału, który powinien jak najszybciej powstać. Dla jego emisji trzeba by wybudować całą sieć przekaźników (wykorzystać satelitę). Podstawową inwestycją jednak byłaby inwestycja w produkcję. O to najbardziej chodzi. Jakkolwiek technologicznie jesteśmy zacofani, to jednak nie do tego stopnia,

abyśmy nie mogli czegoś wyprodukować, tylko nie bardzo mamy za co.

– Ile czasu potrzeba na otwarcie prywatnego kanału TV w Europie?

– Zawsze powstaje przez wiele miesięcy. Zależnie od tego, na jakim gruncie powstaje, i ile jest pieniędzy, trwa to dłużej, albo krócej. Zazwyczaj buduje się te kanały bardzo długo. Zresztą, proces powstawania kanału jest hamowany przez istniejących konkurentów.

– Jak ten proces może wyglądać u nas?

– Prawodawstwo do tej pory tylko tytułem wyjątku dopuszcza jednego emitenta we Wrocławiu. Tak jak w przypadku radia, ustawa, która przyznaje częstotliwość jest już wykorzystana, tak w przypadku telewizji Ministerstwo Łączności prywatnym kandydatom do produkowania programu takich częstotliwości jeszcze nie przyznało. Ciągłe czekamy na decyzje w tej sprawie. Sam jestem zaangażowany w jedną z takich propozycji czynioną przez TV „Kontakt”. Staramy się – zespół filmowy *TOR* – pojawić jako ewentualni partnerzy w nadziei, że „Kontakt” będzie początkiem sieci prywatnych telewizji.

– Kiedy oczekuje Pan pierwszej konkurencji dla TVP?

– Ona dawno mogłaby już funkcjonować, gdyby nie to, że TVP w jakiś sposób dość skutecznie broni swojego monopolu – będąc zresztą bardziej telewizją rządową, niż publiczną.

– Czy wobec tego można oczekiwać lepszego programu telewizyjnego?

– Trudno powiedzieć. W okresie przemian trudno w ogóle liczyć na dobry program. Jeżeli pojawi się kanał prywatny, prawdopodobnie wpłynie to jeszcze bardziej na obniżenie poziomu programu. Wtedy kwestią będzie to, jaką politykę przyjmie telewizja rządowa. Czy pójdzie tropem tych stacji zachodnich, które nie bacząc na spadek liczby widzów, przyjmują, że ich misja przewiduje obsługę często mniejszości audytorium, ale mniejszości, która jest wpływowa i ma do tej obsługi szczególne prawo. Oczywiście są kraje, gdzie nie jest to tak rozumiane i tam pojawienie się telewizji prywatnej spowodowało natychmiastowy, straszliwy upadek standardu telewizji państwowej, która próbowała przechwycić widownię i licytować się w popularności programu.

– Jaki model rynku telewizyjnego przewidywałby Pan dla Polski?

– Tu nie ma co przewidywać. To jest po prostu kwestia wyboru, jaki podejmą politycy. Nie mogę przewidzieć, co politycy wybiorą i na ile świadomie będą wybierali. Życzylbym bardzo, żeby telewizja państwowa utrzymywała standard obsługi i przynajmniej w jednym ze swoich kanałów, dostosowała się do publiczności bardziej wymagającej, nie bacząc na to, że ktoś zabierze im, przynajmniej na pewien czas, ogromną ilość widzów, szukających tylko najtańszej rozrywki.

– Dziękuję za rozmowę.

rozmawiał Mateusz Dzieduszycki

Radio Solidarność

UKF 73,2 MHz

- stacja warszawska
- program 24 godziny na dobę
- telefon do studia 635-88-88
- Biuro Reklamy i Ogłoszeń: ul. Konwiktorska 7, 00-216 Warszawa, tel. 635-80-36, 635-92-93

film

Ewa Mazierska

Tęsknoty Emila Kusturicy

Kino się starzeje i traci swą niewinność. Coraz trudniej na ekranie zobaczyć radość twórców z możliwości ożywiania własnych marzeń, coraz częściej – męki tworzenia. Wehikuł magiczny staje się powoli wehikułem technicznym.

W malejącej grupie twórców filmowych „marzeniem podszytych” szczególne miejsce zajmuje Emir Kusturica. Ten trzydziestosześcioletni reżyser z Jugosławii jest bowiem – mimo młodego wieku – mistrzem wyrażania za pomocą kamery marzeń o powrocie, czyli tęsknot. Są one źródłem i treścią każdego z jego trzech pełnometrażowych filmów. *Czy pamiętasz Dolly Bell* (1981), *Ojciec w podróży służbowej* (1985) i *Dom wisiółców* (1989).

Jedną z nich jest tęsknota za dzieciństwem i wczesną młodością jako tym okresem, w którym ludzie wolni są jeszcze od wszelkiej tzw. gorzkiej wiedzy, wielkiej „słynnej życiowej mądrości” i w którym liczni z nich dysponują umiejętnościami, które z czasem, pod wpływem doświadczeń, zanikają. Wszyscy główni bohaterowie filmów Kusturicy – sześciolatek Malik z *Ojca w podróży służbowej* i kilkunastoletni młodzieńcy z pozostałych filmów obdarzeni zostali tzw. nadprzyrodzonymi zdolnościami, a przynajmniej wiarą, że takie dyspozycje istnieją i że można je zdobyć. Malik jest lunaty-

kiem, Dino Dolly Bell próbuje stać się hipnotyzerem, Perhan z *Domu wisiółców* ma zdolności telekinetyczne. Dla każdego z nich taki niezwykle kontakt ze światem to sposób ucieczki od kłopotów, które muszą dzielić z dorosłymi. Jest to – paradoksalnie – metoda racjonalna, przecież dorosli swymi „dorosłymi” sposobami nie potrafią zwalczyć obecnych w ich życiu zła i bezsensu. Seanse hipnotyczne, somnambuliczne spacerunki i działania telekinetyczne uosabiają też częste marzenie ludzi XX wieku – pragnienie zlikwidowania barier komunikacyjnych, pragnienie kontaktu pozazjęzykowego.

Dzięki wierze dziecko nie odczuwa także „ontologicznych przepaści”; nie ma dla niego wyraźnej granicy między snem i jawą, niemożliwym, prawdopodobnym i pewnym, dniem wczorajszym i dzisiejszym. Oczywiście – nadużywanie tej wiary, odbieranej zresztą przez dorosłych jako naiwność, jest ryzykowne. Młody Cygan – Perhan, który uwierzył w swe szczęście, w to, że uda mu się osiągnąć i zachować bogactwo i miłość, zapłacił wysoką cenę: stracił wszystko – złoto, rodzinę, uczciwość i wreszcie wiarę i życie.

Filmy Kusturicy to nie tylko filmy o młodości, to także dzieła o przekraczaniu granicy dzieciństwa i dorosłości, niedojrzałości i dojrzałości. Nie znam twórcy, który w sposób bardziej

wyrazisty umiał pokazać dorosłość jako królestwo, w którym nie tylko brakuje wartości, lecz wręcz panują „antywartości”. Ufnosć zastępowana jest cynizmem, miłość – pragnieniem upokarzania, dobro – złem, prawda – kłamstwem. Świat dorosłych to u Kusturicy kraina złodziei, prostytutek i sutenerów, tchórz i małych cwaniaków. A przecież każdy był kiedyś dzieckiem i nikt nie pragnął służyć kłamstwu i złu. Po prostu – dorostając, ludzie pragną żyć tak jak inni (bądź lepiej) i mieć to, co inni (bądź więcej) i w efekcie tracą właściwą dzieciom naiwność – naturalną busolę postępowania. Nie otrzymując w zamian żadnej nowej.

Filmy Kusturicy to zawsze opowieść z perspektywy kogoś, kto ma niewiele lat, kto patrzy na świat ciepło, ale bez zbytniego sentymentalizmu, charakterystycznego dla wspomnianych swą młodość starszuchów. Takie spojrzenie w dużej mierze kształtuje kamera stalego współpracownika Kusturicy – operatora Vilko Filicia. W *Ojcu w podróży służbowej* przypomina ona wciśnięte dziecko, zaglądnące we wszelkie zakamarki rodzinnego domu, w *Dolly Bell* – nieco nieobecnego duchem, zakochanego młodzieńca, który koncentruje się na kilku, nieważnych dla innych szczegółach i któremu cała dostrzegana kątami oka „reszta” ulatuje ze świadomości.

Drugą wielką tęsknotą filmów Kusturicy jest kultura. Pojmuje ją jako całość składającą się z uznawanych i realizowanych wartości, ale także z drobniaków, przeważnie niezaważalnych dla tych, którzy w niej uczestniczą. Kulturę bowiem najlepiej widać, gdy odchodzi, bądź gdy już całkiem odeszła. W *Czy pamiętasz Dolly Bell?*, którego akcja toczy się w latach sześćdziesiątych, jest to kultura bośniackiego, muzułmańskiego przedmieścia, ustępująca zachodniemu obyczajowi. Młodzi chłopcy, żyjący na peryferiach Sarajewa, trzymają się razem, marzą o tych samych dziewczętach i chodzą do kina na te same filmy. Uwielbiają *Europe w nocny Blasett*, i marzą o Dolly Bell z tego właśnie filmu. By zdobyć „jugosłowiańską Dolly Bell”, porzucają domowe zajęcia, uko-

chane „gołębniki”, wymykają się wieczorami spod kurateli rodziców. W domu kultury uczą się śpiewać włoskie przeboje. To, co przychodzi z Włoch miesza się z tym, co bośniackie i „socjalistyczne”, i powoli zaczyna dominować. A potem – o czym wiemy my – widzowie – także odchodzi. Filmy – i piosenki o stu tysiącach pocałunków są dziś w Sarajewie równie nieobecne jak hodowcy gołębi.

Kultura wiąże się u Kusturicy z tym, co socjologowie nazywają „społecznością lokalną”. To z nią bowiem – mieszkańcami tej samej wsi, ulicy, przedmieścia, człowiek identyfikuje się najbardziej, szczególnie zaś mieszkaniacze Jugosławii, kraju wielu narodowości, języków, obyczajów. Cywilizacja dla Kusturicy to z jednej strony swoista postać kultury, której ocean w dużej mierze zależy od gleby, na którą trafia. W *Dolly Bell* skutery i lokale ze striptizem wtapiają się w bośniacki krajobraz, nie czyniąc w nim widocznych zniszczeń. Nowe łączy się tu ze starym. Inaczej w *Domu wisiółców*. Tu wiatr cywilizacji (którego źródłem zresztą znów są Włochy) – niszczy wspólnotę Cyganów. Pod wpływem widoku zdobyczy cywilizacji zachodniej – samochodów, luksusowych domów, pełnych portfeli, wielu z tych, których sensem życia jest wędrowność i dla których więzienie jest gorsze niż śmierć, staje się niewolnikami pieniędzy i umiera „duchem”. Smutny świat *Ojca w podróży służbowej* to z kolei rzeczywistość, w której polityka zepchnęła kulturę na margines.

Filmy Kusturicy są nostalgiczne – jest w nich bowiem i motyw powrotu (notos) i cierpienia (algos). Nostalgii nie wywołuje jednak to, co budziło zachwyt, co było wspaniałe i jako wspaniałe było przeżywane. Nostalgia budzi po prostu tę część przeszłości, która przeszła niepostrzeżenie, „bez hałasu”. Tak niepostrzeżenie mijają obyczaje, tradycja. Tak mija młodość.

W pewnym pięknym wierszu Iwana Bunina mowa jest o tym, że ktoś zgubił „serce, pierścionek i wiarę”. Myślę, że takich, co je zgubili, jest wielu, a filmy Kusturicy pozwalają choć na kilka godzin każdą z trzech rzeczy odzyskać.

sztuka

Dorota Jarecka

Gdzie jest Ionesco?

MARIUSZ KRUK *Nie pokoje*
RICHARD NONAS *Pomiędzy dawnymi czasami. Rzeźby dla zmieniającego się zaniku* (Bronisławowi Malinowskiemu). Centrum Sztuki Współczesnej – marzec 1991
MIROSLAW BAŁKA *My body cannot do everything I ask for* Galeria Foksal marzec – kwiecień 1991.

Swiat Ionesco to świat absurdu. W świecie absurdu nie ma płytkich sentymentów. Te spotkać można w świecie logiki. W świecie absurdu, tak jak w życiu, liczą się tylko namietności. A wielka namietność wyklucza logikę. Nie można mieszać absurdu z logiką, tak jak do namietności nie wolno mieszać byle sentymentów.

Na wystawie Mariusza Kruka miałam wrażenie, że wszystko się pomieszało. Do świata, który miał być absurdalny wdarła się logika. Weszła frontowymi drzwiami albo przez drzwi od szafy otwarte przypadkiem w czasie przeprowadzki. Bo wystawa Kruka to trzy pokoje (sala Zamku Ujazdowskiego w Warszawie) zastawione meblami. W tytule – łatwy do wykrycia żart. *Nie pokoje*, czyli jednak – rozumiemy szybko – pokoje, tylko niepokojące, o poprzestawianych meblach, trudne do zamieszkania. U Ionesco śpiewaczka nie występuje ani razu. Nawet w peruce.

U Kruka z przewróconej szafy wyskakują płaszczyzny i zawisa na rusztowaniu. To dobre, absurdalne. Ale tuż obok na skrawku dywanika stoi szafka, biała, jak z dzieciennego pokoju, na niej wazonik, w wazoniku kwiatki. To znowu

– sentymentalne. Podobnie zresztą jak umieszczone na wysokich podstawkach naczynia. Dzbanki, filiżanki, każda z innego serwisu, ale wszystkie w kwiatki, przeładowane ozdóbkami, mieszczańskie. Czym ma być zatem wystawa? Żartem z mieszczańskiego gustu, czy dramatem absurdu, w którym powinno chodzić o coś więcej niż tylko drwinę z państwa Smith (Kowalskich) i państwa Martin (Malinowskich).

Dwie konwencje kłócą się ze sobą. Na zwaliskach szafy (lata trzydzieste), siedzi kolorowy krasnal (późny Gierek). Tuż obok – wyrafinowana kompozycja: z sufitu albo z nieba spadło krzesło i wbiło się oparciem w blat stołu. Stoi tak nogami do góry, wbrew prawu ciężenia. Krasnal na szafie jest niemal realistyczny, wytłumaczalny, łatwy, krzesło jest tajemnicze. I mam poczucie, że należałoby wybrać: krasnal albo krzesło. Ja zdecydowanie wolę krzesło i uważam, że w pokoju jest za dużo mebli.

W tłoku łamie się dyscyplina. Łysa śpiewaczka zamiast siedzieć cicho, wychodzi na scenę i śpiewa.

Mamy Ionesco!

Na wszystkich wystawach i tak najbardziej dramatyczny jest widok tych pań w szarych i brunatnych strojach, które siedzą, stoją, chodzą grupkami albo osobno, robią na drutach, milczą, jedzą kanapki, pod oknami, w kątach, w niszach.

Na wystawie Richarda Nonasa w Zamku Ujazdowskim są znowu. Tym razem zagubione między pokładami kolejowymi, pniakami

brzoź, kupami kamieni, w chmurach kurzu, które podnoszą się z podłogi, w wibrującym hałasie świrów. Patrzą na mnie, patrzą przez okno w szare niebo.

Ale gdzie ja jestem?

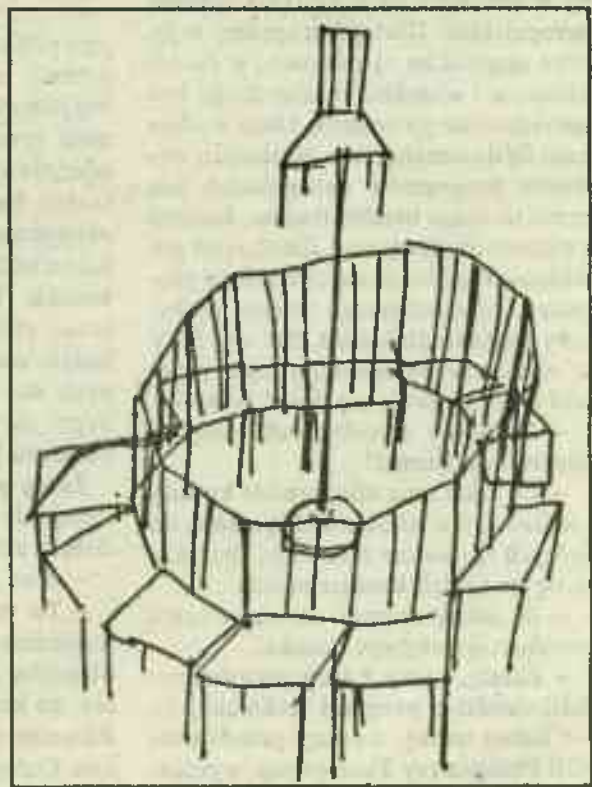
W Nowym Jorku czy w Warszawie rangę galerii rozpoznaje się po tym, jak ubrani są jej pracownicy. Pod tym względem nic w Polsce nie dorównuje Galerii Foksal. Po wejściu nie spotyka się tam kobiety w kufajce, ale młodego mężczyznę w czarnych dżinsach, czarnej koszuli i czarnym swetrze, mężczyznę o modnie przystrojonej brodzie i subtelnym spojrzeniu. Niedbala elegancja jego stroju zgadza się z wzorami światowymi. Podobnie jak intymne, białe wnętrza galerii. Podobnie zresztą jak sama wystawa.

Autor ma nazwisko polskie – Mirosław Bałka. Ale wystawa nosi tytuł angielski: *My body cannot do everything I ask for*. Według wymagań ostatniej mody zwanej w artystycznym slangu „postminimalizm” jest oszczędna, ascetyczna, prawie pusta. Wnętrze oświetlone białym laboratoryjnym światłem przypomina opuszczoną salę operacyjną albo zdezynfekowany pokój szpitalny. W głębi stoi wysoki prosty stół, przy ścianach kilka rur. Wnętrze jest posprzątane, ale nie czyste. Na podłodze, w szczelinach desek, we wnętrzach rur widać sól. Zaschnięte ślady soli. Na półeczce pod blatem stołu leży nasączona słoną wodą gąbka, tak jakby tam złożono wilgotne jeszcze prześcieradło. Ale nie wiadomo, czy chory nie żyje, czy zwyczajnie podniósł się i wyszedł. Tych parę prostych przedmiotów działa na wyobraznię. Wystawa niesie niepokój, a zarazem – estetyczne uko-

jenie. A skoro tak się dzieje, to jest dobra. A skoro jest dobra, to jakie znaczenie ma nazwa angielska, czy polska, jakie znaczenie ma podobieństwo do jednej czy drugiej wystawy w Nowym Jorku?

Może trzeba wreszcie przestać porównywać się do świata i wtedy tworzenie w stylu aktualnym i modnym będzie kwestią wyboru języka a nie haniebnym naśladownictwem Zachodu czy też chwalebny odcinaniem się od polskości. Może należy przestać myśleć o tym gdzie się jest, pisząc, rzeźbiąc, ubierając się, czesząc, malując...

Tylko potem człowiek wychodzi na ulicę, brudzi się, targa, zdziera buty, wdycha to powietrze i... gubi się.



MARIUSZ KRUK, szkice do instalacji *Nie pokoje*

Spóźnione obrachunki

JERZY ANDRZEJEWSKI *Miazga*. Adaptacja, reżyseria i kompozycja przestrzeni – KAZIMIERZ BRAUN, scenografia Zofia de Ines-Lewczuk, muzyka Zbigniew Karnicki. Premiera 27 marca 1991 w Teatrze Polskim we Wrocławiu.

W 1991 roku, a więc ponad dwadzieścia lat po napisaniu *Miazgi* Jerzego Andrzejewskiego stała się po raz pierwszy przedmiotem awangardy teatralnej. Dopełniają się w ten sposób powikłane losy tego utworu, pisanego przez wiele lat i przez wiele lat docierającego do czytelników. *Miazgę* zaadaptował dla potrzeb teatru i wyreżyserował Kazimierz Braun. Po sześćdziesięciu latach nieobecności w kraju właśnie powieść Andrzejewskiego uznał on za najważniejszą i najodpowiedniejszą ofertę dla polskiej publiczności. Propozycja ta okazała się zupełnie chybiona. Proza Andrzejewskiego jest przecież tylko pozornie współczesna. Utwór ten mógł być czytany jako wciąż aktualny jeszcze trzy lata temu. *Miazga* wystawiona w roku 1991 jest przedstawieniem kostiumowym.

Oczywista analogia do *Wesela* Wyspiańskiego, do którego nawiązania możemy odnaleźć niemalże na każdej stronie *Miazgi*, była chyba tym, co uwiódło reżysera i autora adaptacji. Prawdziwe jest założenie, że *Miazga* to nowe *Wesele*. Dalszy ciąg rozumowania jest tu jednak fałszywy. Skoro *Wesele* napisane aż dwięćdziesiąt lat temu jest nadal aktualne, to *Miazga*, od której napisania upłynęło

zaledwie dwadzieścia lat, musi być tym bardziej aktualna. Sztuka jest obszarem, na którym czas ujawnia szczególnie ostro wszystko, co względne. Powieść Andrzejewskiego zanurzona jest całkowicie w rzeczywistości PRLu. A przecież obraz życia politycznego i świata artystycznego oraz zależności między tymi dwiema sferami zmieniły się po czerwcu 1989 radykalnie. Skłanianie publiczności, żyjącej w nowych, trudnych do ogarnięcia i chaotycznych czasach, do przejrzenia się w zwierciadle wykonanym i wykrzywionym w minionej epoce nie może przynieść ciekawych rezultatów.

W gruncie rzeczy oferta Kazimierza Brauna zawiera się w hasło „przeżyjmy to jeszcze raz” – dla tych, którzy przeżyli. Dla tych zaś, którzy nie przeżyli, ale na ogół wiedzą już dokładnie jak było, bo czytali i słyszeli o tym gdzie i co komu wybiło oraz jak komu duszę zniewolili – „znacie to posłuchajcie”.

Na scenie Teatru Polskiego ustawiona jest widownia. Siedzą na niej aktorzy – bohaterowie *Miazgi*, goście zaproszeni na wesele w Jabłonie. Między opadającymi amfiteatralnie krzesłami majaczą ogromne, sino-szare kukły będące podobiznami kolejnych władców PRLu. Bierut, Gomułka, Gierek w końcu pojawi się też Jaruzelski. Spektakl rozpoczyna koncert śpiewaczki. Ważniejsze od wykonywanych pieśni są rozmowy toczące się na widowni, prezentujące kolejno postacie. Potem fotele zostaną podniesione i znaj-

dziemy się w pałacu w Jabłonie.

Zachowany został skomplikowany układ chronologiczny *Miazgi*. Najpierw obserwujemy wesele w wersji przyszłej niedokonanej (choć teatr nieuchronnie ukonkretnia zdarzenia) potem wesele bez wesela, pijatykę gości zaproszonych na ślub, który się nie odbył. Widownia umieszczona na scenie ma być lustrzanym odbiciem tej, na której siedzą widzowie. A jednak to, co twórcy spektaklu stawiają przed widzami, nie jest zwierciadłem prawdy. To szyba, przez którą można podglądać to co się dzieje za linią rampy, w której przeżyć się mogą jedynie postaci sceniczne.

Świat przedstawiony w *Miazdze* – powieści – fałszuje rzeczywistość, choć niewątpliwie w latach siedemdziesiątych taki wizerunek elit rządzących i rządzonych elit artystycznych musiał sprawiać wrażenie rewolucyjnego i obrazoburczego. Zaufanie reżysera do tekstu powieści wydaje się bezgraniczne. Tymczasem dwudziestoletni dystans czasowy czyni je naiwnym, a kształtowany w przedstawieniu obraz świata bardzo powierzchownym. To niestety zamiar, jaki chyba przyświecał tej realizacji – zamiar dokonania bezlitosnych obrachunków.

Kluczowym tekstem dla Brauna jest fragment napisany przez powieściowca *alter ego* Andrzejewskiego – Adama Nagórskiego (we wrocławskim przedstawieniu Pisarz grany przez Igora Przegródzkiego): „(...) więc stojąc przed murem, który nie istnieje dla świata, ponieważ mnie przydzielony, we mnie tylko i bez trzech sprawdzalnych wymiarów istnieje, stojąc zatem przed murem nierzeczywistym, lecz dla mnie jak najbardziej prawdziwym (...) wiem, że kiedy poprzedzone powolnym stygnięciem powietrza spełzną z niej, z tej ściany mojego życia, ostatnie poblaski zachodzącego słońca – przyjdą Furie, zwane za czasów mego dzieciństwa Bachantkami lub Menadami, przyjdą i rozszarpia mnie”. Cytat ten możemy połączyć w wypowiedź Kazimierza

Brauna zamieszczoną w programie do przedstawienia: „Jak mówi Milan Kundera w *Księdze śmiechu i zapomnienia* walka między jednostką a systemem to walka sił zapomnienia z pamięcią. Podobnie Gustaw Herling – Grudziński w swoim *Dzienniku* mówi o złodziejach pamięci i okradanych z niej narodach i jednostkach. Człowiek może być naprawdę wolny, jeśli sam sobie pozwala posługiwać się pamięcią.”

O co tu chodzi? O to, abyśmy przynależeli przed sobą, że nie możemy zaliczyć się w poczet sprawiedliwych; że wszyscy bardziej lub mniej skalani jesteśmy minionymi zdarzeniami, sposobami myślenia i działania, a jeśli nie skalani, to zranieni odłamkami starego systemu. Dzięki obejrzeniu *Miazgi* przeżyjemy katharsis i z podniesionym czołem, pełni odzyskanej godności wyjdziemy z teatru (ostatnią rzeźbą pojawiającą się po czterech kolosach wodzów jest maska aktora teatru antycznego z utluczonym nosem). Mamy zdobyć pewność, że udało nam się wyrwać z odwiecznego chocholego tańca, z korowodu weselnych gości; że świata, w którym niemożliwe jest już nawet samo wesele, bo jak urządzić je bez ślubu; z krainy, gdzie wszechpotężny jest rozpad i rozkład wszelkich wartości. Tajemnicza Erynia-Furia sprowadzi nas jak Pisarza w dół, pod scenę, do Hadesu i każe szukać swojej Eurydyki. Wszystko w porządku – tylko kto jest adresatem tego przedstawienia? Nikt nie ukrył twarzy, nie wybuchł skandal. Nie będzie plotki o *Miazdze* tak jak była o *Weselu*, bo czas *Miazgi* minął. Nie pomogą dobrzy aktorzy i sprawna reżyseria. *Miazga* jest już tylko swoistym dokumentem, jako dzieło literackie nie wytrzymała próby czasu – nie da się galwanizować w teatrze. Tego możemy dowiedzieć się z wrocławskiego przedstawienia. Wbrew temu, co zamierzył reżyser i co jest powołaniem teatru, nie dowiemy się niczego o sobie.

Elżbieta Wolicka

Pochwała prywatności

TEATR „N.N.” W LUBLINIE
Tomasz Pietrasiewicz, Jerzy Rarot, Renata Dziedzic, Grzegorz Rzepecki, Grzegorz Linkowski, muzyka Witold Dąbrowski

Sztuka skazana jest na to, aby w dobie dojrzałości rodzaju ludzkiego stać się tym, czym są wieczorem dla drobnych handlarzy w Berlinie krotchwiłe, przedstawiane w teatrach stołecznych.
(Edward von Hartmann)

Oglądając nasze dzisiejsze historyczne przeobrażenia z perspektywy miejskiej ulicy można dojść do przekonania, że stajemy się w przeważającej masie społeczeństwem „drobnych handlarzy” oraz – ich klientów. Czyżby zatem nadszedł również czas przeobrażeń teatryki – „siódmej sztuki” na liście „mechanicznych”, jak ją kwalifikowali scholastycy – przeobrażeń które sprawią, że stanie się ona hartmannowską „krotchwilą”, czyli farsą, burleską, nieskomplikowaną rozrywką w czasie wolnym od zatrudnień wolnorynkowych?

Widowisko teatralne należy do tego typu artystycznej wytwórczości, który musi się szczególnie liczyć z aktualnym stanem tak zwanych zapotrzebowań społecznych. Jeśli im nie odpowiada – traci rację bytu. Animatorzy życia teatralnego muszą się zatem legitymować „darem rozeznania”, aby utrzymać się w kręgu niesłabnącego zainteresowania publiczności. Poruszają się na wąskiej *via media* pomiędzy programem nadmiernie ambitnym oraz zakrojonym „pod publiczność”.

Ponadto owa publiczność bywa kapryśna i łatwo się nudzi zarówno jadołospisem zbyt wyrafinowanym jak i zbyt popularnym. Zjednywanie sobie odbiorców może polegać na hołdowaniu hulaśliwej modzie i wyczuciu koniunktury, ale może też być próbą bardziej osobistego z nimi porozumienia. Skutecznym sposobem osiągnięcia tego celu jest kameralność – rezygnacja z widowiskowości na wielką skalę i ograniczenie przestrzenne, formalne i treściowe przedstawienia do rozmiarów „wydarzenia prywatnego”, adresowanego do niewielkiej liczby uczestników i realizowanego „środkami ubogimi”.

Autorski teatr Tomasza Pietrasiewicza „N.N.” wybrał właśnie tę ostatnią formę „próby kontaktu” i konsekwentnie uchylił się przed jego szerokim upublicznieniem. Przedstawienia jednej, jak dotąd, realizacji *Wędrówki niebieskie* odbywają się rzadki, widownia ogranicza się do nielicznego grona z przewagą bliskich znajomych Zespołu. Trójka aktorów (Renata Dziedzic, Grzegorz Linkowski i Jerzy Rarot oraz Witold Dąbrowski – muzyka) porusza się na wąskim pasie podłogi zamkniętymi dwoma przeciwległymi wnękami, między rzędami widzów, wzdłuż umownej sceny obrysowanej dodatkowo pasmem światła, które pada z ruchomego reflektora. Światło to, podobnie jak muzyka, spełnia dodatkowo funkcję emotywnego wzmocnienia toczącej się akcji. Słowną warstwę widowiska tworzy precyzyjnie skomponowany coi-

lage tekstów, wśród których odnajdujemy między innymi fragmenty utworów Hofmansthal, Nabokova, Bułhakowa, Borgesa, kwestię z szekspirowskiego *Hamleta*, „Modlitwę mojej matki przed zmrokiem” Bomsęgo w przekładzie Miłosza. Jak zauważył trafnie Jan Zieliński („Res Publica” 1/91) ten zestaw cytatów umieszcza nas w dobranym towarzystwie autorów i utworów publikowanych na łamach „Zeszytów Literackich” i wprowadza w klimat estetyki lansowanej przez paryski kwartalnik.

Pomysł „przełożenia” tych lektur na formę widowiska i próba podzielenia się z widzami fascynacją „światem tekstów” za pośrednictwem poetyki ruchomych obrazów symbolicznych, jest przedsięwzięciem godnym uwagi i chyba niebanalnym. Ale co z tego wynika? Co pozostaje po obejrzeniu i wysłuchaniu *Wędrówek niebieskich* poza rozpoznaniem owego aluzyjnego klucza i satysfakcją, że się należy do grona wtajemniczonych w kulturowe mistrium o tak nobliwej – i może też nieco snobistycznej – proveniencji?

Pozostaje, jak sądzę, przede wszystkim wrażenie uczestnictwa w „rozmowie istotnej”, jakby powiedział Witkacy: rozmowie, która „przekraczając warstwę sensu” pozwala zobaczyć „jak w zwierciadle świat i siebie” (fragment wygłoszonego w przedstawieniu cytatu z Nabokova). Jest to, rzecz jasna, „świat” kultury, który nieuchronnie wciąga nas w ruchomą przestrzeń lektur, literackich skojarzeń, wyobraźni karmionej „środkami wizualnymi” i wrażliwości przesyconej nadmiarem różnorodnej i rozmaitej jakości „podaży” na rynku idei i ideologii, zmiennych mód i efektownych doktryn, kalejdoskopowe go wariabilizmu wartości.

Propozycja „sprywatyzowania” kultu-

ralnej twórczości i konsumpcji – to znaczy skupienia uwagi na kilku ważnych pytaniach, fragmentach tekstów, urywkowych myślach zapodrzeczonych w pamięci i łatwych do utracenia w tłumie i zgiełku, w zaferowaniu prozą życia; zatrzymywania wzroku na kilku detalach skomponowanych w poetyckim obrazie, na gestach-ewokacjach, którym towarzyszy powracający muzyczny motyw, snop światła, strużki – sztucznego oczywiście – deszczu – wszystko to zaprasza do udziału w osobistym klimacie porozumienia i do swego rodzaju współnictwa, niemal do klanu wtajemniczonych znających wagę szczegółu, potrzebujących namysłu.

Kwestia społecznego obcowania z kulturą, asymilacji jej wartości, przyswajania wzorów, nie może bez reszty pozostawać w gestii instytucji publicznych i „kombinatów kulturalnych” szeroko nagłaśnianych i propagowanych. Nie może też być sterowana tylko względami komercyjnymi. Sądzę, że z punktu widzenia tego, co można by nazwać zakorzenieniem w kulturze, ważniejsze są przedsięwzięcia o skromnym, jeśli nie wręcz prowincjonalnym, „domowym” zasięgu, lecz o wyraźnej, własnej jakości, które zdolne są wskrzeszać lub tworzyć odrębną tradycję „małych form”, budować obszary prywatności i lokalnego porozumienia, skupiać wokół siebie środowiska. Mniej ważne, czy będą to formy „krotchwiły”, czy też „chwili poetyckiej” – dość że „w dobie dojrzałości rodzaju ludzkiego”, czyli europejskiego urynkwienia, działania te okażą się zdolne ocalać pierwiastki autentycznego obcowania z kulturą i sztuką „schodząc głęboko ku źródłu”. Tego należy życzyć lubelskiemu teatrowi „N.N.”

Sny Irokezów

Psychologia wierzeń religijnych, wybra-
ni i wstępem opatrzył Kazimierz Jankowski,
Czytelnik, Warszawa 1990

Psychologia wierzeń
religijnych



Czytelnik



Scena z filmu Zanusiego: pogrążeni w medytacji zakonnicy, zbliżenie pochylonego karku jednego z braci i zaskakujący komentarz pojawiający się na ekranie – cytaty z neurologicznego opisu lewitacji. Formułka wyjaśniająca biologiczny mechanizm zjawiska pełni tu rolę „naukowego” argumentu w sporze o Pierwszą Przyczynę. W sporze jałowym – bohater filmu, młody fizyk, zadaje chybione pytania. Od wciąż niejednolitej doktryny istotniejszy jest jego niepokój i brak umiejętności „pogodzenia się ze światem”, umiejętności, która nie oznacza rezygnacji, lecz intuicyjne zrozumienie – afirmację.

Wspomnienie *Iluminacji* stanowi dobry wstęp do lektury *Psychologii wierzeń religijnych*. Książka jest zbiorem kilkunastu esejów z dziedziny antropologii, a przede wszystkim psychologii głębi. Obok tekstów Ackerknehta i Junga odnajdujemy w niej prace współczesnych kontynuatorów i komentatorów klasycznej już szkoły. Celem wyboru jest przedstawienie podstawowych problemów i założeń z zakresu psychoanalizy postjungowskiej, a sposób ich prezentacji poprzez teksty niejednorodny, tworzący

układ kolejnych kręgów „wtajemniczenia” – od sprawozdania etnografa do krótkiej analizy całej teorii – umożliwia czytelnikowi uczestnictwo w formułowaniu wniosków.

Autorów zebranych prac łączy przekonanie o istotnym wpływie religii na strukturę psychiczną człowieka. Spór o dogmat zostaje zawieszony na rzecz dociekań związanych z psychiczną funkcją wiary w bogów. Pozwala to określić wspólny punkt odniesienia w badaniu rozmaitych form aktywności religijnej. Jest nim pytanie o SKUTECZNOŚĆ wierzeń i praktyk w utrzymywaniu wewnętrznego ład u ludzi związanych jedną wiarą. „Prawdziwa kontrola, jaką religia sprawuje nad wszystkimi poziomami doświadczenia psychicznego wprowadza stan niemal pełnej równowagi między świadomością i nieświadomością, jednostką i innymi ludźmi, tym, co prymitywne i co wyrafinowane, między dziecięcymi i dojrzałymi doświadczeniami człowieka” – czytamy w szkicu Ann i Barry Ulanov. Kryterium skuteczności (proste: „jak to działa”) stwarza możliwość równorzędnej analizy wiary w sny wśród amerykańskich Iroke-

zów, szamańskich obrzędów Indian z gór Meksyku i Gwatemali, buddyjskiej „drogi wyzwolenia” Zen czy doświadczeń mistyków chrześcijańskich. Zrozumienie i interpretacja religijnych praktyk uzdrowienia oraz mistycznych stanów oświecenia – wiąże się w głównej mierze z zadaniem psychologicznej „deszyfracji” sakralnych formuł – przekonuje o istnieniu ponadkulturowej struktury ludzkiej jaźni. „Nasza zachodnia psychologia – pisze Jung – osiągnęła rzeczywiście tyle, co joga, albowiem jest w stanie naukowo wykazać istnienie głębokiej, jednolitej warstwy nieświadomości”. Następny krok w praktyce psychologa to adaptacja wybranych form i technik religijnych, tych technik, które, uznane za skuteczne w przywracaniu wewnętrznej równowagi, mogą posłużyć lekarzowi w terapii pacjenta wychowanego w odmiennym kręgu kulturowym.

Ilustracją tej metody jest, kluczowy dla całego zbioru, esej Allana W. Watta „Przeciw-gra”, pochodzący z jego książki *Psychoterapia East and West* (1973). Za pomocą nowoczesnych kategorii psychologicznych – „double bind”, czyli teoria „podwójnego wiązania” – autor przedstawia jasną interpretację buddyjskiej „drogi wyzwolenia”. Zasadniczym celem psychoterapii prowadzonej przez mnichów jest zniszczenie sprzeczności między sztywnym, statycznym rozumem (sfera ego) i emocjami (sfera nieświadomości). Problem adepta Zen nie różni się niczym od kłopotów przeciętnego Europejczyka czy Amerykanina „udającego się do guru lub psychoanalityka z pytaniami takimi jak: Cóż JA mam uczynić, by uciec z kręgu narodzin i śmierci (samsara)? Cóż JA mam uczynić, by zostać zbawionym? Jak SIĘ mam wydostać z tych skrajnych depresji? JA tak bardzo SIĘ boję, że dostanę raka, jakże mam SIĘ przestać martwić?” Właściwy problem polega na tym, komentuje wypowiedzi pacjentów Watta, że sprzeczność nie istnieje, jest pozorna, a jej iluzję wywołujemy i potęgujemy sami (eksponowane „ja” w dosłownym tłumaczeniu z angielskiego), tkwiąc w strukturze zracjonalizowanej świadomości.

Psychoanaliza w przekonaniu autorów wybranych tekstów staje się substytutem zapomnianej religii Europejczyków, nową religią bez bogów, w której człowiek zbawia się sam... przy małej pomocy lekarza. No cóż, karykaturalny obraz współczesnych manii spod znaku „personal Jesus” każe wątpić w nieograniczone możliwości psychoanalizy. Jungowska psychologia głębi – takie wydaje się główne przesłanie książki – jest przede wszystkim oskarżeniem kultury europejskiej, która wszystko, co irracjonalne, emocjonalne i ekstatyczne dyskwalifikuje lub spycha do poziomu tabu. Ostatnimi „sanktuariami” nieświadomości, czytamy w szkicu Ackerknehta, są „sypialnia, sklep monopolowy i gabinet psychiatry”. Postawy autentycznie religijne zostały zdominowane przez kodeksy zakazów i nakazów, blokujące możliwość spontanicznego zrozumienia i akceptacji rzeczywistości. Choroby psychiczne i ich pochodne – alkoholizm, narkomania – znane we wszystkich kulturach w świecie umysłu „oświeconego” stają się chorobami o wymiarze społecznym, normą sytuacji kryzysowej. Psychologia i antropologia stawiają trudne pytania, wobec których teologowie i filozofowie – twórcy współczesnego kształtu kultury europejskiej – pozostają bezradni. Dziedziny te, co szczególnie istotne, formułują tak, że konkretne odpowiedzi, warte są uważnej lektury.

A Irokezi? Ich bajkową codziennością rządziły ukryte marzenia, zaledwie przezuwane tęsknoty, spontaniczne – a przez to prawdziwe, bo tylko w części cenzurowane przez świadomość – pragnienia. Nie zadawali pytań. Śnili życie piękniejsze, żyli z namaszczeniem realizując sny, choć nie zawsze udawało im się porozumieć z „racjonalistami” z sąsiednich plemion... Siedemnastowieczni jezuiti, których zapiski służą obecnie antropologom w rekonstrukcji psychiki Irokezów, próbowali dyskretnie ściągnąć Indian na ziemię. Ewangelizując, z niepokojem oczekiwali chwili, gdy jednemu z tubylców przyniś się martwy misjonarz.

Jacek Kopciński

Spacer po ziemi berneńskiej

JERZY STEMPOWSKI *Ziemia berneńska*, przełożył i postawem opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, Czytelnik 1990

Gdy w 1840 roku Wiktor Hugo wyruszył w podróż wzdłuż Renu pisał, że wędruje tylko w jednym celu, aby oglądać drzewa i niebo, dwie rzeczy, których nie widuje się w Paryżu. Dla uważnego obserwatora krajobraz nigdy nie jest martwy, stworzony przypadkowo raz na zawsze, niegodny uwagi. Przeciwnie, to rodzaj księgi pełnej znaczeń, odsyłającej daleko w przeszłość. W 1946 roku Jerzy Stempowski pisał w liście do Marii Czapskiej: „Jestem obłożony książkami z okresu baroku, mówiącymi ówczesną łaciną o drzewach, chcąc zdać sobie sprawę z pojęć, jakie mieli o drzewach ludzie, którzy sadzili istniejące jeszcze dziś stare dęby, platany, wiązy itd. Wszystkie te stare drzewa mówią coś niejasnego, czego nikt dotąd nie umiał dobrze odszyfrować. Będę bardzo zadowolony, jeżeli mi się to chociaż częściowo uda”. Stempowski pracował nad esejem o historii pejzażu szwajcarskiego. W kilka lat później genewska oficyna Librairie E. Droz wydała *La terre bernoise – Ziemia berneńska*.

Dla Stempowskiego krajobraz był częścią cywilizacji. „Struktura ekonomiczna, idee, jak również historia społeczeństwa znajdują w nim swoje odbicie”. Trzeba tylko umiejętnie go czytać, odkrywać ślady, rozumieć alegoryczny język drzew. Czytać pejzaż, to przede wszystkim dociekać do ludzi, którzy przed wiekami nadali mu kształt. Jak zauważył Andrzej Stanisław Kowalczyk, tłumacz *La terre bernoise*, zdaniem Stempowskiego „świat podpadający pod nasze zmysły był jedynym światem. A więc spotkać się z naszymi przodkami możemy tylko tu”. Kultura to jedyna forma nieśmiertelności. Dlatego tak ważne jest umieć się w niej odnaleźć, nawiązać dialog z przeszłością. Aby tego dokonać, nie trzeba być erudyta, raczej „niespiesznym przechodniem”, który potrafi widzieć świat w całej jego różnorodności, ceni szczegół. Tylko wtedy można uwolnić się od opisanej przez Miłosza „ontologicznej anemii”. Choroby, która oznacza degenerację kultury.

Krajobraz berneński został ukształtowany w XVII i XVIII stuleciu. Wtedy wytyczono istniejące do dzisiaj trakty, zasadzono drzewa. Zaczęto dbać o otoczenie, nadawać mu sens. Jedną z podstawowych

idei baroku, przypomina Stempowski, była koncepcja konstruowania pejzażu, nadania mu walorów malarskich i literackich. W XVII wieku drzewo zaczyna być traktowane przez malarza jako element posiadający znaczenie symboliczne. Lipa – zgodnie z tradycją drzewo miłości, pojawia się w miejscach, gdzie wcześniej wznoszono szubienice. W ten sposób próbowano wymazać ślady dawnego okrucieństwa. Platan to drzewo akademickie. W cieniu jego liści nauczał Sokrates. Mówił, że niczego nie można dowiedzieć się od drzew i że tylko człowiek może nauczyć nas czegoś o nas samych. Mimo to, platan sadzono później wszędzie tam, gdzie powstawały towarzystwa naukowe. Dąb był drzewem Jowisza, jesion Marsa, wią stanowił najlepszą podporę dla winorośli. „Drzewa samotne rosnące na wolnej przestrzeni – pisze Stempowski – nie są nigdy dziełem przypadku, były bądź posadzone, bądź pozostawione z rozmysłem po wyrębie”. Tak oto wyznaczano punkty orientacyjne, przypomniano o ważnych wydarzeniach. Znaczono ziemię, próbując odcisnąć w niej ślad własnej obecności. O drzewach pisał Gaston Roupnel, często cytowany przez Stempowskiego autor *Historii wsi francuskiej*. Jego zdaniem „brzeg lasu opowiada historię 10-20 tysięcy lat, życie rolników przedhistorycznych z siekierkami, pomiary rzymskich agrimensorów, karczunki cystersów i początki rolnictwa skomercjalizowanego”. Do końca XVIII wieku chłop szwajcarski produkował wyłącznie na własny użytek. Gospodarka wiejska stanowiła obieg zamknięty. Rolnik dysponował wolnym czasem. Zdobiał garnki, wyszywał ko-
szule, sadził drzewa i krzewy – upiększał

krajobraz. Dla Stempowskiego nie ulega wątpliwości, że wolny czas jest podstawowym elementem kultury, warunkiem swobody. „Od kiedy sto lat temu, zauważa eseista, chłopcy wymienili swój wolny czas i niezależność na zysk w gotówce, nie są szczęśliwi”. „*Ziemia berneńska*” jest więc szkicem o potrzebie swobody, wolnego czasu. Dzięki niemu „człowiek może zająć się samym sobą, wejrzeć we własne wnętrze, zgłębić wiedzę o swojej istocie”.

Zakątki szwajcarskiego krajobrazu poznajemy powoli, w rytmie spaceru, wychodząc z miasta przez jeden z berneńskich mostów wędrując dalej ku chłopskim zagrodom i łąkom. Stempowskiego nie interesowała przyroda nie tknięta ludzką ręką, wysokie, ośnieżone szczyty Alp. „Ich ogrom, pisze Kowalczyk, narzuca człowiekowi myśl o jego małości, uświadamia obcość nieskończonego świata. Jeszcze krok, a nad umysłem zapanuje wyobraźnia, emocje odbioru mu jasność”. Stempowski wołał naturę łagodną, uległą człowiekowi. Posiadał niezwykły dar obserwacji, umiejętność odnajdywania historii w rzeczach pozornie nieistotnych. Stempowski cytuje klasyków, ale czyni to jakby przy okazji, niczym gentleman of private means, dyletant erudyta. *Ziemia berneńska* to esej o kulturze, szkicem pisanym „przy okazji spacerów, spotkań i skojarzeń”. „Z duchowego dziedzictwa ludzi baroku, notuje Stempowski, chcielibyśmy uwydatnić tutaj tylko jeden motyw zasadniczy, a mianowicie bezmiar nadziei i potęgę marzenia, które pobudzały ich do próby uciłowienia natury i do upodobnienia jej do obrazu jaki sobie stworzyli o ziemskim raj”.

Marek Zagańczyk

noty

Przyszłości nigdy nie będzie

HENRYK GRYNBERG, *Zwycięstwo*, „W drodze”, Poznań 1991

Tłumacząc swoją decyzję emigracji, Grynberg napisał w 1968 roku w londyńskich „Wiadomościach”: „Dla mnie najlepsze życie znaczyło być w Polsce, mówić po polsku, być polskim pisarzem”.

Opowiadanie Polakom o wojennym i powojennym losie Żydów w Polsce zawsze wiązało się jednak z ryzykiem: podważało polskie samozadowolenie z przysłówiowej tolerancji; oznaczało też wejście na grząski grunt polskiego antysemityzmu. Każda taka opowieść odbierana była przy tym przez pryzmat uwikłań politycznych (z czasów stalinowskich, a potem z marca 1968 roku); uwikłań, które narzucały ich bohaterom na zmianę rolę katów i ofiar.

Cenzura w Polsce powojennej starała się oszczędzić czytelnikom okazji do autorefleksji, którą mogłyby rozbudzić „drażliwe” tematy. *Zwycięstwo* opublikowano po raz pierwszy w Paryżu. Był to pierwszy utwór, jaki Grynberg wydał po wyjeździe z Polski w 1968 roku.

W prostych zdaniach pisarz stara się nakreślić zarysy szczegółowego losu człowieka-Żyda, któremu nikt niczego nie daruje, bo „nie jest swój” i który wie, „jak niewielka jest różnica między pokojem a wojną. Która właściwie

nigdy się nie kończy, a tylko chowa się pod powierzchnią życia i tam trwa.” Narrator *Zwycięstwa* powiada: „My to wiemy, dlatego się ciągle czegoś boimy.”

Na pierwszy plan wysuwa się tu postać bohatera-narratora, przemawiająca w imieniu narodu żydowskiego. Równie istotne dla dzisiejszego czytelnika jest też zetknięcie się z zapisem relacji o latach 1944-47, w której niezego się specjalnie nie omija. Stonowana, ściszo-na emocjonalnie narracja mówi o tych, którzy po wyzwoleniu nie wychodzili z lasów na wschodnich terenach Polski, bo w „czterdziestym pierwszym roku zbytnio cieszyli się z ucieczki Rosjan”, i o „narodowce” z tyłch lasów, która nie lubiła, nie tylko Niemców i Rosjan, ale także i Żydów, i o NKWD, które zgarniało Rosjan zbiegłych z niemieckich obozów jenieckich, i o specyficznym sposobie „upartyjnienia” Żydów, i o partyzantce, która, gdy chciała się zabawić, to napadała na chłopów lub dwory, i o ukamienowaniu Niemca wyciągniętego z jakiejś łódzkiej piwnicy, i o sposobach zdobywania mieszkań w pookupacyjnej Łodzi. Długo można by wyliczać sytuacje teoretycznie znane wszystkim z nazwy; tyle że obrazy, które dałoby się zatytułować np. „Partyzantka”, „Wzrost szeregów partyjnych”, „Życie ludności w miastach wyzwolonych spod niemieckiej okupacji”, jeszcze niedawno miały w świadomości potocznej nieco inną barwę.

Ponadto zaś Grynbergowa opowieść o sprawach sprzed ponad czterdziestu lat ma swój dodatkowy wymiar. Najlepiej mówią o tym słowa zaczerpnięte z jego poezji:

Przeszłością jest również wszystko to, co jest (...)

nie ma żadnej teraźniejszości,

a przyszłości nigdy nie będzie

(Of the Invisible)

Hanna Gosk

Nasz człowiek w Kabulu

KRZYSZTOF MROZIEWICZ, *Kabul w okresie postu*, Wydawnictwo Literackie, Wydawnictwo „Myśli”, Kraków, Warszawa 1990

„Wojska radzieckie miały podbijać serca i umysły. Nie udawało się. Rozpoczęło wobec tego akcje karne. Nie przyniosło to nic dobrego. Zaczęto pacyfikować wsie. Na próżno. Ludzie uciekali do miasta, a mudżahedini w góry” – w tym fragmencie zawiera się cały sposób myślenia Mroziewicza o wojnie w Afganistanie. Zwraca uwagę kategoryczne oddzielenie ludzi od mudżahedinów. Intryguje ton pretensji do Afganów, że nie poddawali się biernie represjom – paleniu domów, rozstrzeliwaniu – i uciekali. Niewdzięczni! Jest to zresztą jedyne miejsce, w którym autor wspomina pacyfikację wiosek przez oddziały sowieckie. W innym miejscu jeden, jedyny raz wymienia liczby – milion poległych Afganczyków i pięć milionów uchodźców (w sumie prawie połowa populacji). Czini to zresztą cytując Moskiewskie Novosti. Poza tym wojna w Afganistanie, wedle Mroziewicza, ma wymiar operetkowy. Bojownicy wielokrotnie zmieniają strony, po których walczą. W Al-laha wierzą bądź nie, w zależności od tego czy jest im to na rękę. O losach walk, bywa, przesadzają lapówkami. Słowem, trwa w tym podłym kraju śmieszna wojenka między handlarzami, przemytnikami i mordercami. Autor nie ukrywa swych sympatii – przedstawiana wizja jest dokładnie zbieżna z aktualną, sowiecką wykładnią historii najnowszej.

Głównymi źródłami informacji reportera są – rządowa telewizja, oficjalne kabulskie, członkowie personelu sowieckiego, wreszcie inni dziennikarze. Przy czym dziennikarze zachodni

są nieuleczalnie infantylni, sowieccy pija trochę za wiele. Nigdy nie udało się Mroziewiczowi porozmawiać z żadnym z mudżahedinów. Choć, jak pisze w samym Kabulu jest ich około pół miliona. Zresztą, nie ukrywa swej niechęci do „duszmanów”. (Określenie to jest używane przez autora świadomie – znaczy tyle co – wróg. Propaganda moskiewska, już się nim nie posługuje). Mudżahedini są dowodzeni przez her-sztów, walczą głównie między sobą, nieobce są im morderstwa na ludności cywilnej.

Nadto, książka napisana jest po prostu nie-chlujnie. Kuriozalny fragment, w którym autor naśmiewa się z postu w Ramadanie nie zawiera informacji, że post obowiązuje w tym okresie od świtu do zmierzchu. Człowiek nie może nie jeść i nie pić przez miesiąc – po prostu by umarł. Dla Mroziewicza widocznie nie jest to jasne. Dalej – jeden z polskich mudżahedinów – Jacek Winkler gdy walczył w Afganistanie nie miał lat trzydziestu siedmiu. Dobiegał pięćdziesiątki. Nadto nie ma wątpliwości czy dotarł do Masuda – ich wspólne zdjęcia już dwa lata temu publikowano w polskiej oficjalnej, legalnej, krajowej prasie. Prasie podziemnej zdaje się Mroziewicz nie ufać. O istnieniu wydawnictw emigracyjnych zdaje się nie wiedzieć.

Nie wie o nich także wydawca. Dlatego pisze dziarsko o „pierwszym w polskiej literaturze faktu pełnym obrazie wydarzeń podczas wojny afgańskiej”. Obraz ten jest nie tyle pełny co szczątkowy. Na szczęście nie jest też pierwszy. Wystarczy wymienić książkę Radka Sikorskiego „Prochy Świętych” uznawaną za jedną z najlepszych w ogóle książek o tej wojnie.

W sumie książka Mroziewicza nie jest wiele warta. Osobiście nie cenię korespondentów wojennych reprezentujących, czy choćby uznających rację agresora. Dlatego *Kabul...* był dla mnie lekturą przykrą i ponurą. Myślę, że książka jest warta tyle ile waży. W skupie.

Wójt

Samo zdrowie

Paranoja. Zapis choroby. Opracował Andrzej Roman. Editions Spotkania, Warszawa-Paryż 1990

Książka pt. *Paranoja. Zapis choroby* jest kolejną próbą uchwycenia i nie zrozumienia, lecz ośmieszenia fenomenu komunizmu. Problem w tym, iż autor od samego początku przyjmuje wobec tego zjawiska anachroniczną postawę wyższości. Andrzej Roman przygotowując swoją książkę miał zapewne za sobą lekturę *Hanby domowej* Jacka Trzadla tudzież kilku jeszcze innych pozycji. Doskonale wiedział, co sądzić o tym zjawisku, i ta wiedza, w sposób naprawdę nachalny, przewija się przez karty jego opracowania. Sprowadza się ona do niezbyt odkrywczej, może nawet i fałszywej tezy, iż: komunizm to bardzo brzydki epizod w historii ludzkości, przy którym nieco uświłto się kilku z natury uczciwych Polaków, zaś ludzie z natury zli zdemaskowali

w pełni swe wredne oblicza. No cóż, można i tak rozumować, tyle że jest to wnioskowanie dość naiwne, by nie rzec: prymitywne. Co w ogóle tutaj robi kategoria „okupienia” – nie mam pojęcia. Boć przecież należałoby się zupełnie poważnie zastanowić nad tym, czy aby w ostatnich dniach swego życia Józef Wissarionowicz Dżugaszwili nie zrozumiał ogromu swych zbrodni i tylko śmierć nie pozwoliła mu ich okupić.

„Klasyka”, „Bzdetyka”, „1939 i wcześniej”, „Powstanie warszawskie”, „Sprawiedliwość”, „Wieczne żywoty”, „Literatura, sztuka i polityka”, „O tamtych plakatach”, „1968”, „Teksty z różnych epok”, „Sejm 1982” – to dość przypadkowe tytuły raczej przypadkowo wyodrębnionych przez autora części książki. Gdyby ich było nieco więcej albo nieco mniej – nic by się nie zmieniło, książka byłaby co najwyżej trochę cieńsza albo trochę grubsza. Poszczególne części zawierają pewną liczbę cytatów z pism klasyków i praktyków marksizmu, leninizmu, stalinizmu, kimirsensizmu, maocizmu, etc. Owe cytaty niekiedy są dłuższe,

niekiedy zaś ograniczają się nawet do fragmentów pojedynczych zdań. Sporo tu rzeczy przytoczonych na zasadzie: „znacie? – to posłuchajcie”, ale nie brakuje też wypowiedzi mniej znanych.

Niechlujnie sporządzone przez Andrzeja Romana wypisy z komunizmu nieźle mnie zirytowały. Nie mam pojęcia, dlaczego autor pominął w swej pracy akurat *Krótki kurs Historii WKP(b)* – fundamentalną przecież dla kilku pokoleń ludzi – pozycję. Jej nieobecności nie usprawiedliwia nawet najsurowsza selekcja źródeł. Wystarczy przecież sięgnąć po *Obywateli* Kazimierza Brandysa, by uświadomić sobie, że komunista bez tej książeczki to jak Lenin bez Krupskiej. Andrzej Roman stworzył swoistą parodię tej książeczki, mianowicie kuriozalny katechizm antykomunisty. Kudy jemu jednak do klarowności i siły perswazji oryginału. *Krótki kurs historii komunizmu w Polsce* i na świecie, opracowany przez Andrzeja Romana na podstawie wypisów, odznacza się – podobnie jak inne tego typu publikacje – znikomymi walorami poznawczymi, ce-

cytuje – mimo, przyznając, wysokiej jakości reprodukcji – na pograniczu dobrego smaku. Dawno nie zetknąłem się z równie nieprze-myślaną i niechlujnie zredagowaną pracą.

Natomiast posłużenie się kategorią choroby psychicznej, nawet rozumianej metaforycznie i przywołanie owych nieszczę-snych, wielokrotnych okupień jest świadectwem bezradności autora wobec fenomenu komunizmu. To znaczy: wobec pół wieku najnowszej historii Polski. A chyba najwyższy czas przyjrzeć się temu, co działo się w Polsce dość długo, by zaważyć na kształcie obecnego życia umysłowego. I chyba najwyższy czas zrobić to w miarę poważnie i w miarę rzetelnie, bez błazeńskich min, chichotów, przedrzeźnień. Ale także bez owego irytującego poczucia wyższości. Jed-no jest pewne: historia PRL nie da się jednoznacznie wyjaśnić przez odwołanie się do trywialnej zasady „objędu zbiorowego”. Ludzie ją tworzący byli przecież w pełni sił psychicznych i fizycznych. Doceniam intencje autora tej książki, atoli nie prócz nich nie zasługuje tu na uwagę.

Marek Adamiec

Demian czyli w poszukiwaniu własnej drogi

HERMAN HESSE *Demian*, Wydawnictwo Głodnych Duchów, Warszawa 1990

„Nie pragnąłem przecież nic więcej, niż żyć tym, co samo chciało ze mnie się wydobyć. Czemuż było to tak bardzo trudne?”

To pytanie zadaje sobie bohater powieści Hermana Hessego, Emil Sinclair, wyznaczając nim perspektywę rozumienia losu ludzkiego. Teraz los nie wisi już nad naszą głową jako coś czysto zewnętrznego, jak fatum w starożytności; nie jest także zesłany przez Bogów bądź przyrodę – tylko my sami możemy go odnaleźć pod warunkiem, iż sami tego pragniemy.

Gdy ten warunek zostaje spełniony, otwiera się przed nami rzeczywistość mityczna, gdzie – choć nie ma Boga – odnajdujemy symbole mówiące językiem boskim i gdzie działają siły narzucające pozornie przypadkowemu światu

konieczność zgodną i rytin przeznaczenia. Bogów jednak nie ma, podobnie jak nie ma jedynego Boga, który gdzieś spoza nas przesyła nam tajemnicze znaki i układa nam życie pociągając za sznurki świata skupione w jego dłoni. Szczególnie zaś nie ma takiego Boga, który karze piekłem i obiecuje nagrodę w raju wedle sztywnej, dekalogowej miary.

Emil Sinclair, główny bohater powieści, uczy się przekraczać granicę pomiędzy dobrem i złem, marząc o bogu marginalnym z punktu widzenia historii, lecz dzięki swej istocie dla ludzkości zbawczym. Ów bóg nazywa się Abraxas i jako taki jest zarówno dobrem jak i złem. Nie przychodzi mu więc do głowy ustanawianie kodeksu ani potępianie pope-dów bądź też tego co indywidualne. Przeciwnie, droga do niego wiedzie poprzez jednostkę, a warunkiem wejścia na nią zdaje się samo-tność i wyzwolenie od świata.

Przewodnikiem i duchowym opiekunem na tej drodze dla Emila Sinclaira staje się Demian, który jest czymś więcej niż jednostką kroczącą własnymi ścieżkami – bo wtedy nie można by było mówić o duchowym staniu się Demia-nem, a tak właśnie dzieje się z Emilem. Jest także czymś więcej niż drogowskazem pokazującym wyższą rzeczywistość – jest raczej samą tą rzeczywistością.

Podobnie matka Demiana – pani Ewa – nie jest już tylko przedmiotem miłości Sinclaira, ale także ujęciem jego losu, przecutym i po-znanym na długo przed faktycznym pozna-niem. Tutaj jednak – w tym miłosnym wątku – powieść, która płynęła nieczym rzeką w mia-rowym przebiegu myśli, nagle załamuje się, przybierając kształt „romansu teozoficznego”.

Powieść staje się przesadnie odświeżona, bo choć dotąd toczyła się w napięciu między strefami światła i cienia, w końcu gubi propor-

cje. Nie przytrafiło się to innym powieściom Hessego – *Grze szklanych paciorków*, *Siddharcie* czy *Wilkowi stepowemu*, zbudowanym przecież wedle tego samego schematu, ponawianego konsekwentnie przez autora. W każ-dej z nich odnajdujemy te same zagadnienia – dwoistość świata i poszukiwanie syntezy. Wszędzie odnajdujemy pytanie o celowość życia, konieczność i dowolność, samotność i bunt – a jednak w każdej z nich owe problemy wcielają się w zupełnie inne, niepowtarzalne światy, osoby lub sytuacje.

Właśnie w tym zdaje się leżeć urok a zara-zem istota twórczości Hermana Hessego. W każdej książce znajduje inne rozwiązania w ramach stałych praw konstrukcji powieściowej i wspólnych zagadnień – można to nazwać zgodnością metapoziomu i poziomu powieściowego. W pewnym sensie zatem książ-ki autora *Demiana* kończą się tak samo: duchowym przebudzeniem czy też oświece-niem głównego bohatera; – ale też zawsze inaczej – podobnie bowiem jak ludzie, także jego książki żyją odrębnym, niepowtarzalnym życiem.

Arkadiusz Rączka

Publiczne obowiązki

Być Największym Poetą Polskim, prócz zaszczytów (choćby w postaci umieszczenia na liście szkolnych lektur) niesie ze sobą także obowiązki. O tych ostatnich Czesław Miłosz zdaje się zapominać, więc mu przypominano.

Uczył na najpierw Stefan Kisielewski w artykule pod energicznym tytułem „Czy laureat Nobla pisze prawdę?” („Tygodnik Solidarność” nr 10, 08.03.1991). Zawiera on polemikę z artykułem p. Miłosza „Bałtowie: problem dla Gorbaczowa” („TS” nr 8). Tekst będący przedmiotem owej polemiki napisany został pierwotnie w języku angielskim – i jak przypuszcza p. Kisielewski – był zapewne drukowany w prasie amerykańskiej w celu zaangażowania tamtejszej opinii publicznej w walkę niepodległość krajów bałtyckich. P. Kisielewski nie jest bynajmniej napastliwy, konstatuje tylko ze smutkiem, że „wybitny pisarz, znający na wskroś historyczne stosunki na północno-wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej, które opisał w niejednym ze swych utworów literackich, uznał że w artykule politycznym należy przemilczeć dużą część dziejowej prawdy, a także posłużyć się twierdzeniami efektownie zmyślonymi, których nikt z cudzoziemskich czytelników nie zweryfikuje”. Szacowny autor ma własny punkt widzenia, z pewnością dobrze ugruntowany i dla poparcia wyżej cytowanych słów przywołuje cztery cytaty z artykułu p. Miłosza; z co najmniej dwoma trudno mi się jednak zgodzić. Oto pierwszy: „Urodziłem się na Litwie i choć później na stałe osiadłem w Kalifornii, zawsze starałem się głosić jak najszerzej prawdę o wydarzeniach, których byłem świadkiem w moim

zakątku Europy”. P. Kisielewski komentuje to zdanie następująco: „Czytelnikowi tego zdania nasunąć się może pytanie, gdzie spędził Autor około czterdziści lat między Litwą a Kalifornią. Oczywiście domyśli się tego czytelnik polski, znający znakomite książki Miłosza, jak »Rodzinna Europa« czy »Prywatne obowiązki«. Gorzej z czytelnikiem amerykańskim, dla którego rzecz pozostać może zagadką, zwłaszcza iż w całym artykule ani razu nie jest wymienione słowo »Polska«”.

Przykład drugi: „W dalszym ciągu, kontynuując swą częściową informację Miłosz pisze o Wilnie: *barokowe miasto, jakby w całosci przeniesione z Italii w krainę sosnowych i świerkowych lasów*. Zapomina jednak biedaczyna, że swoje architektoniczne piękno i odrębność zawdzięcza Wilno wielowiekowej pracy polskich królów, biskupów, uczonych i artystów. Jakaż tu selektywność pamięci!”

P. Miłosz uchylił się zatem od roli narodowego wieszczą, którego obowiązkiem jest przede wszystkim służyć swą ojczyznę – niezależnie od tematu i celu wypowiedzi – przywołać krótką historię polskich zasług w danej części świata wzorem Katona, który wszystkie przemówienia w senacie kończył tym samym zdaniem o Kartaginie. Przy okazji warto wspomnieć, że p. Miłosz, mieszkając tyle lat

w Ameryce, o ile mi wiadomo ani razu nie wspominał o Kazimierzu Pułaskim. Selektywność pamięci.

„Gazeta Wyborcza” (nr 78, 03.04.1991) w notatce „Miłosz kontrolowany” informuje o wstrzymaniu decyzją kolegium II programu TV emisji 13 pozostałych odcinków „Rozmów z Czesławem Miłoszem”. Wicedyrektor Programu II Krystyna Mokrosińska powiedziała „Gazecie”, że „Rozmowy...” „były wstrzymane ze względu na krytyczne opinie widzów. (...) Andrzej Miłosz przygotowując »Rozmowy...« nie miał żadnego pomysłu realizatorskiego, dlatego program może nużyć widza. Wstrzymaliśmy go dla dobra Czesława Miłosza, którego popularność może się zmniejszyć z winy nieudolnego reżysera”. Jeśli chodzi o krytyczne opinie widzów, to docieklawy dziennikarz „Gazety” zadał sobie trochę trudu: „Przeglądając raporty z kilku ostatnich tygodni, panie z działu kontaktu z widzami nie natknęły się na krytyczne telefony widzów. Znalazły jeden zapis rozmowy dotyczącej »Rozmów...« dlaczego ten program emitowany jest o tak późnej porze? Ludzie, którzy wcześniej wstają do pracy, nie mają okazji go zobaczyć”.

Równie pretekstowy charakter zdaje się mieć argument i monotonii programu i braku

pomysłu realizatorskiego. Cała wartość programu polega właśnie na tym, że prowadzący, zamiast nieustannie wprawiać poetę w konsternację swoim wyrafinowaniem intelektualnym, oddał pomysł na program niejako w jego ręce, pozwalając mu mówić. Pytania zaś ograniczają się do: opowiedz jeszcze o tym, jak to było wtedy. Jest to prawdziwie wyjątkowy przypadek wśród naszych programów kulturalnych, kiedy prowadzący nie przeszkadza mówiącemu i pewnie dlatego jest on też dla redakcji II programu intelektualnie niedostępny. Jest też inna możliwość: skoro bowiem koncepcja programu znalazła się w ręku Czesława Miłosza, to słowa p. Mokrosińskiej znaczyłyby, że to, co mówi bohater programu jest dla większości nudne (ale przecież właśnie dlatego program był nadawany o północy), albo niewygodne: nie uważam za przypadek zawieszenia programu po odcinku zawierającym wypowiedź na temat powstania warszawskiego, w której znów wystąpiła selektywność pamięci – nie nie dowiedzieliśmy się o bezprzykładnym bohaterstwie, a tylko, że lato było upalne i chłopcy kąpali się przy hydrantach. Strach pomyśleć, co by p. Miłosz mógł powiedzieć o okresie stalinowskim, więc dla jego własnego dobra, aby wiesz nie okazała się krypto-post-komunistą, program zawieszono.

Wieszczę nie zostaje się z własnej woli. Wieszczę jest własnością społeczną i w trosce o jego społeczny wizerunek pozwala mu się tylko na to, co dla niego dobre; oceniają to zaś osoby od niego bardziej kompetentne. Zostaje więc odpowiednio upożewany, sportretowany i uwięziony we własnym pomniku. Mam nadzieję, że decyzja drugiego programu telewizji nie jest początkiem tego procesu.

AM

Nigdy nie wróciłam do domu

dokończenie ze s. 6

Tyle tylko, że Zygielbojm mógł żyć.

No tak, ale Czerniaków też mógł liczyć na to, że przeżyje. A Szeryński? A te wszystkie lajdaki? Przecież oni wierzyli, że przeżyją.

Ale Czerniaków nie był lajdakiem!

Tak... Może Czerniaków był słaby? Ale był przyzwoitym człowiekiem, na pewno!

Jak pani pisała swoją książkę? Wtem, że leżała pani wtedy w szpitalu w Łodzi, na oddziale Marka Edelmana, i że był to rok 1986.

Napisałam tę książkę w 6 tygodni. Tam zdałam sobie sprawę z tego, że czas mija, człowiek wieczny nie jest, a ja mam jeszcze jeden nie spełniony obowiązek. Marek mówi, że „wykrzyczało ze mnie”.

Czy powiedziała pani Markowi o tym, że pisze książkę?

Nie. Dalać mu te papiery, nie mówiąc co to jest – liczyłam na jego lenistwo. No i przeliczyłam się – on te papiery przeczytał. Przyszedł i powiedział mi: – Już to dałam na maszynę.

W książce napisała pani: „Nie umiałam żyć jak inni, jak ci, którzy wyjechali w daleki świat i rozpoczęli wszystko od nowa”. Po wyjściu z getta czuła pani, że nie jest stąd: „byłam zawsze tam za murem”. A jak jest dzisiaj? W jakim świecie dzisiaj pani żyje?

Wtedy było inaczej i dziś jest inaczej. Wtedy, przez te wszystkie miesiące zamknięcia, bardzo tęskniłam do Warszawy. Getto, z tym właśnie kłębiącym się tłumem, to nie była Warszawa. Bardzo tęskniłam do kawałka zieleni. Mury szły tak, że nawet nie widzieliśmy Ogrodu Krasińskich. Pamiętam, kiedyś byłam chora i ktoś, kto był po aryjskiej stronie, przyniósł mi kwitnącą, czerwoną fasolę...

A dzisiaj? Wielu wyjechało, zaczęli wszystko od nowa, a jak jest z panią?

Wtedy, po wojnie, nie umiałam znaleźć się w Warszawie, ale to minęło, dość szybko. A jak jest teraz? Chyba nie tak bardzo się potrafię cieszyć jak inni. Dziś może już nawet bardziej... Wie pani, to jest tak: teraz nie mam powodów, żeby narzekać na biedę. Zarobiłam trochę pieniędzy na tej książce.

Mówi to pani z autoironią?

Nie, nawet nie. I te pieniądze nie są mi na nic potrzebne! Mogę jedynie dzieciom trochę ułatwić życie. Ale ja? Ja naprawdę niewiele poza książką potrzebuję.

Jednak będę się upierać przy swoim pytaniu. Ja pytam o to, gdzie pani swoją psychiką, świadomością jest?

Nie, teraz to już jestem na tym świecie. Może po części dlatego nie pozwalam sobie już na wewnętrzną emigrację, bo sprawy polskie są zbyt ważne dla mnie. Może, gdybym mieszkała we Francji, byłoby inaczej? To prawda, że nie posiadam takiej umiejętności korzystania z życia. Może to właśnie pozostało... Ale jestem tu, w środku wszystkich polskich spraw.

Mówiąc o pani byciu tutaj, nie sposób zapomnieć, że tamten świat był w tym samym miejscu. W książce mówi pani: „W

wielkim, nowoczesnym mieście nie ma śladu po tym, co się stało, ale kiedy zamykam oczy...”

Ale kiedy zamykam oczy, to jestem na tamtej ulicy z tamtymi ludźmi... Jeżeli ja mówię: Nalewki, to nie ma to nic wspólnego z dzisiejszą Nowotką. I ja to mogę zobaczyć, kiedy zamykam oczy. Jest tam straż pożarna, jest brama ogrodu i parkan, i ludzie, a na rogu jest sklep z wędliną, tylko ja nie mogę odczytać tego szyklu... Rozumie pani, widzę go, ale jest za daleko, żeby mogła go przeczytać. Przechodzę przez ulicę. Przede mną przejściowa brama, a w głębi trzy podwórka, to jest taki pasaż – mnóstwo sklepów, sklepików i tłum ludzi. A tutaj jest Klinika Lalek, na pierwszym piętrze, w tej bramie. To wszystko jest tak wyraźne... A przed sklepem stoi człowiek w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, obok siedzi kobieta i sprzedaje bajgielki, kawałek dalej wózek z pomarańczami...

I tamta ulica jest rzeczywista?

Bardzo, bardzo... Tak naprawdę – w 1942 roku wyszłam z domu i nigdy do niego nie powróciłam. A dzisiaj? Mieszkam, żyję w tej nowej Warszawie. I kiedy wracam, na przykład z Ministerstwa Zdrowia, idę przez Ogród Krasińskich. Kiedy wychodzę na Nowotkę – zastanawiam się, gdzie ja jestem. No tak, przecież to są Nalewki. Z Ogrodu Krasińskich zawsze wychodzę na Nalewki, nigdy na Nowotkę.

A gdy zbliża się pani do Umschlagplatzu?

Proszę pani, ja na Umschlagplatz chodzę dwa razy do roku – na Wszystkich Świętych i 19 kwietnia.

Omija pani to miejsce?

Poza wszystkim innym, nie mam tam żadnych interesów, bo na Stawkach człowiek nie ma żadnych interesów.

I kiedy idzie pani tam te dwa razy w roku, to „film się odkręca”, tak?

Oczywiście, oczywiście.

A czy ten film czasami odkręca się tu, w mieszkaniu na Ochocie?

... Widzi pani... tak, czasami tak – kiedy coś przeczytam, zobaczę, kiedy ktoś mnie o coś zapyta – wtedy się odkręca...

Czy czasami dzieje się to zupełnie nieoczekiwanie?

Nie, nie. Czasem w nocy powtarzają się te same sny... Śni mi się Śnieżna i wyścig z tym motocyklem niemieckim. Idę ulicą, spieszę się, ale nie mogę iść – to bardzo często zdarza się we śnie. A ja muszę zdążyć przed Niemcami, muszę zabrać Marka z tego mieszkania.

A na jawie?

Nie, nie. Myślę, że człowiek takie rzeczy świadomie i podświadomie tłumaczy. Przecież inaczej nie można! Ale cały czas dobrze wiem, z jakiej konkretnie przeszłości ja wyszłam.

Czyli tamten świat jest dla pani przeszłością, która nie mieszka się z teraźniejszością?

To jest przeszłość, która zmieniła wszystko... Ja pani powiedziałam – ja wyszłam z domu w lipcu 42 roku i nie wróciłam... I nigdy, nigdzie nie będę we własnym domu! Czasem tylko śni mi się dom... Wszyscy chyba jesteśmy bezdomni.

Wszyscy, którzy przez to przeszli?

Tak. Myślę, że tak. Tu, gdzie teraz jesteśmy, tu, gdzie mieszkamy – to wszystko są tylko mieszkania... Rozumie pani – mieszkania!

Nie ma domu.

Tak. Wie pani, to jest zabawne! Człowiek ma wrażenie, że to wszystko tu dokoła jest jakieś nierzeczywiste.

Tamto jest rzeczywiste.

Tak. I nie to, co było w czasie wojny. Tamto – to znaczy to, co było przed wojną. Tamten dom, tamto życie było rzeczywiste. Tamto było prawdziwe. Wie pani, to śmieszne – kiedy przez długie lata miałam dość trudną sytuację materialną – to też wydawało mi się nierzeczywiste!

To czas przedwojenny. A czas wojny, getto, Umschlag? Czy to rzeczywistość? Inaczej zapytam panią. Czy tamten świat mieści się w tym dzisiejszym świecie? Czy są to dwa osobne światy oddzielone od siebie wyraźną linią?

Nie, wszystko jest dalszym ciągiem tamtego. Tamten świat mieści się w tym świecie. Bo widzi pani, gdyby był możliwy powrót... Wtedy mógłby to być zamknięty rozdział! Ale powrót jest niemożliwy. To, co się stało, jest nieodwracalne. Nigdy nie będzie można wrócić do punktu wyjścia. Czyli że wszystko, co się dzieje teraz, jest dalszym ciągiem tamtego. To co teraz i tu – jest w jakiś sposób nierzeczywiste, a nierzeczywistym stało się z powodu tamtego. Wszystko, wszystko jest inne... I to wszystko jest prawdopodobne surogatem tego, co powinno być. Po prostu, nie ma powrotu do prawdziwego życia.

Ja myślę, że prawie każdy człowiek ma jakieś swoje miejsce, albo sytuację, w których czuje się dobrze, u siebie, w domu. A pani?

Nie, nie. Czasem, kiedy dzieci były małe, czasem z wnukiem, ale to są bardzo krótkie chwile. I wie pani, ja nie chcę powiedzieć, że nasze życie tam się skończyło – nie! Ono po prostu tam zupełnie się zmieniło i nie ma powrotu do tego, co było i co powinno być... A teraz trzeba się znajdować w tym obcym świecie.

Czyli nieprawdą jest to, co pani mówi w swojej własnej książce, że „wszystko odeszło w mrok historii” – to nie jest tak! Tamto żyje w teraźniejszości, a nie w historii...

Może i tak. To jest we mnie.

W pani i w kilku jeszcze osobach. A skoro tak – to jest to rzeczywiste, to mieści się w tym świecie. Ja zaczęłam chodzić na Umschlagplatz wiele lat po tym, kiedy pani tam była, i dla mnie nie jest to miejsce, gdzie stoi stacja GPNu. Ja widzę zupełnie inne miejsce, i właśnie obraz przypominany w mojej pamięci jest prawdziwy.

To jest cezura. Nic w Polsce nie jest już takie samo, wszystko się zmieniło.

Pani mówi o zmianach wokół, a ja myślę, że o wiele ważniejsze są te zmiany w nas, w naszym o świecie myśleniu.

I wokół nas i w nas. Tu był bogaty, mieszany las. Pewnego dnia przyszedł drwal i wyciął wszystkie brzozy. I las nie jest już mieszany. A poza wszystkim innym, las mieszany ma o wiele większe szanse przeżycia niż las jednopienny. To zupełnie inna Polska, niech mi pani wierzy.

Tak. Myślę, że wiem o tym zbyt długo i zbyt dobrze.

[...]

Warszawa, zimą 1990 r.

rozmawiała Anka Grupińska

Jednym z najbardziej typowych wcieleni rozwłóczyła antycywilizacji (homo-thos) jest terrorysta. Można go śmiało nazwać bojownikiem antycywilizacji, gdyż w odróżnieniu od człowieka-spiega robi użytek z posiadanej broni i znaczą swoją drogą zbrodniami. Na tym polega zresztą mroźny krew w żyłach profesjonalizm miejscowych partyzantów – na osaczeniu, porwaniu lub zabiciu wytypowanej ofiary bądź też całej grupy przypadkowych osób. Rekonesans i wywiad stanowią tu części składowe aktów destrukcji, nie zaś, jak w przypadku szpiega, aktów poznania, należy dodać – poznania szczególnego rodzaju. Dlatego wśród różnic wymienić trzeba również zredukowany w znacznym stopniu w działaniu terrorysty pościgowy aspekt gry i przewagę elementu zakrycia. W terroryzmie, podobnie jak w konspiracji, mniej liczą się poszukiwanie, zbieranie i przekazywanie informacji, bardziej zaś utajnianie, które kulminuje w finalnym akcie powiadomienia szerszej opinii publicznej. Terrorystyczny zamach ma wiele cech wspólnych z aktem wyrazu, na który człowiek-spieg raczej nie może sobie pozwolić. Równoczesność ekspresywnej jawności represji (masakry, napady rabunkowe, porwania, negocjacje z rządem) i życie w podziemiu z odwiecznymi akcesoriami kamuflażu i przebrania, działa na terrorystów wybitnie stresująco i na dłuższą metę prowadzi do duchowej dezintegracji.

Poza tym terrorystę i szpiega łączy szereg podobieństw. Obaj – by zacząć od szczegółów – dysponują perfekcyjnie sfalszowanymi dokumentami czy zestawami szyfrów i obaj – by dotknąć spraw najważniejszych – pasożytują na cywilizacji. Dzięki informacjom zdobytym przez człowieka-spiega antycywilizacja, choć z trudem i tylko w kilku dziedzinach, nadąża za cywilizacyjnym rozwojem. Dzięki zaś prawom gwarantującym osobistą wolność i swobodę poruszania się, terrorysta może dołączyć do owego kosmopolitycznego towarzystwa pośredników, agentów, dostawców i quasi-polityków, które tak bardzo ułatwia terroryzm. Obaj też w końcu posiadają bezpośrednich przeciwników, wyspecjalizowanych w tropieniu i zwalczaniu już to szpiegostwa (kontrwywiad), już to terroryzmu (policja antyterrorystyczna). Jak pokazuje praktyka (a przykładowo związek terrorysty międzynarodowego – Mehmeta Ali Agcy z bułgarskim wywiadowcą Sergejem Iwanowem Antonowem, ilustrujący szersze powiązania pomiędzy siatką terrorystów i służbami szpiegowskimi państw bloku komunistycznego) kontrwywiad i policja antyterrorystyczna skazane są na współpracę.

W literaturze polskiej mamy unikalny zapis działania terrorysty w *Nie-Boskiej Komedii* Zygmunta Krasińskiego. Żona Doktora pyta hrabiego Henryka: „więc to nieprawda, że jakubiny jej męża porwali w nocy?” Wolno stąd domniemywać, że na kilka lat przed inwazją Europy przez kohorty Pankracego zdarzały się tego typu wypadki. W przełożeniu na język naszych czasów powiedzielibyśmy tutaj o zasłyszonym (w plotce) akcie porwania jakiejś osoby (na przykład prawnicowej polityka, bogatego przemysłowca czy generała NATO) przez terrorystyczną grupę lewicową.

Dziś wszakże o zasłyszaniu, plotce czy wieści nie sposób już mówić. Dzięki środkom masowego przekazu każdy terrorystyczny zamach odbija się echem na całym świecie w przeciągu kilku godzin, stając się globalnym spektaklem. Terroryzm zresztą nie byłby tym, czym jest i pragnie być, gdyby nie wkalkulowywał w każdą swoją zbrodnię wymiaru informacyjnego. Trafiamy tutaj w istotę groźby i skuteczności terroryzmu. Nagłaśnianie informacji sprawia, że to, co peryferyjne i jednostkowe, staje się uniwersalnym i dotyczącym każdego. Bez wymiaru informacyjnego każda niemal terrorystyczna akcja byłaby tylko lokalną zbrodnią, o której mieszkańiec sąsiedniego miasta mógłby po prostu nie wiedzieć. Tymczasem zamiast mniej lub bardziej peryferyjnych katastrof mamy katastrofę na skalę państwa czy nawet kontynentu.

Bo też faktycznie katastrofa, jaka zawiła nad Europą zachodnią w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, nie sprowadzała się bynajmniej do śmiałych akcji studenckich bojowników i zawodowych desperados. Strategiczny plan, jaki powoli wylania się z terrorystycznego ekstremizmu tych dekad, obejmuje w pierwszym rzędzie destabiliza-

dzień cynika

Bojownik

cję demokracji zachodnich, aby następnie zmusić konstytucyjne rządy do działań charakterystycznych dla państwa policyjnego. To zaś z kolei miało wywołać szerokie niezadowolenie społeczne i już masowe wystąpienia i bunt, którym – w roli obrońców pokoju przeciw dyktatorom – patronowaliby sami inspiratorzy i pośredni sprawcy tych dyktatur. Realizacja tego planu powiodła się częściowo w Turcji, gdzie zanurzony i krwawiący od terroryzmu naród ujęty został w żelazne kleszcze rządu generałów. Podobnym przykładem może być Urugwaj. Gdziekolwiek jednak na świecie dochodzi do głosu konfraternia terrorystyczna, pod jakimkolwiek bądź hasłami (nacionalistycznymi, religijnymi, ideologicznymi) święcąc swój kult zbiorowych zabójstw, jej celem jest wyeliminowanie demokracji z gry, zaś filozofią polityczną zasada „im gorzej, tym lepiej”.

Zachód do dzisiaj wzdryga się przed pełnym ujawnieniem, jak ważną rolę w rozwoju terroryzmu międzynarodowego pełnili Sowietci. Ów „sojusz w skrywanym” uznałbym za jeden z najistotniejszych problemów epoki. Chodzi tu bowiem nie mniej ni więcej tylko o kwestię pokoju lub wojny. Détente i pokojowa współpraca uwiodły Zachód, a czymże jest w gruncie rzeczy poinformowanie własnej opinii publicznej, iż niezmiennym celem Moskwy

jest degradacja moralna, fizyczna i finansowa Zachodu, jak nie kreacją wroga? Z wrogiem się walczy, nie zaś negocjuje, tym bardziej, iż przywykł on do rozwiązywania trudniejszych problemów politycznych za pomocą aktów terrorku. Zachód chce widzieć w Związku Radzieckim partnera politycznego dialogu, nie zaś antycywilizację, i dopóki będzie chciał tego, dopóty cała prawda nie może wyjść na jaw. W rezultacie zachodnia opinia publiczna jest świadomie uspokajana.

Satelickie kraje komunistyczne też zapisały swą kartę we wspomaganie terroryzmu światowego. Organizując przeszkolenie, zaopatrując w broń i zapewniając terrorystom bezpieczne schronienie, okazywały się najwierniejszym i najszybciej socjuszniakiem Moskwy. Zrozumiałe więc, że były w tym względzie pod szczególną ochroną i nie doświadczyły jeszcze działania terroryzmu na sobie. Powiedzmy inaczej: terroryzm był tutaj zinstytucjonalizowany i sterowany centralnie. W odróżnieniu od terroryzmu międzynarodowego, którego aktywność w poszczególnych organizmach społecznych można porównać do działania rozproszonych bodźców bólowych, terroryzm komunistyczny władał całym społecznym układem nerwowym.

Na przykład stan wojenny w Polsce, oglądany z tej perspektywy, jawi się jako oparty na zawiązanym rok wcześniej spisku akt terrorystyczny, który spowodował czasowy paraliż całego układu. Widzimy różnicę w skali, zauważając równocześnie identyczność środków, metod i celów działania. Podobny akt terrorystyczny, sterowany od wewnątrz, jest już dziś niemożliwy. Wysoce prawdopodobny natomiast wydaje się rozkwit tych form terrorystycznych, których doświadczyły już na sobie demokracje Zachodu, więc zamachów bombowych, skrytobójstw, porwań i szantaży.

Publicznie nic jeszcze nie wiadomo o istnieniu w Polsce terrorystycznego podziemia, niemniej opieszałości w organizowaniu i przeszkoleniu grup antyterrorystycznych oraz w prewencyjnym inwigilowaniu środowisk komunistycznych nic chyba nie usprawiedliwi. Na pewno środowiska te posiadają broń, były zresztą przez dziesięciolecia jedynym dysponentem i użytkownikiem broni w państwie. Nieobce też im są zapewne kanały kontaktowe z terroryzmem międzynarodowym, pomijając już ich zadawnione związki z Moskwą. Słowem, nawet w krajach o utrwalonej i silnej demokracji terroryzm może narobić wiele szkód, a co dopiero w kraju, który wchodzi w bezprecedensową fazę budowania demokracji po równie bezprecedensowym w dziejach antycywilizacyjnym epizodzie. Chaos i zbiorowy lęk jest tu o wiele łatwiej wywołać, a tym samym pchnąć rząd i siły porządkowe do zastosowania środków nadzwyczajnych. Od tego zaś już tylko krok pozostaje do zaprowadzenia w imię spokoju i społecznego ładu rządów autorytarnych.

Janusz Węgielek

Nagrodzeni w konkursie literackim

20 LUTEGO 1991 roku nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu „Czasu Kultury” na cykl wierszy. Jury w składzie: Rafał Grupiński, Jan Kasper, Izolda Kiec, Wacław Osajca, Tadeusz Żukowski postanowiło nie przyznawać głównej nagrody. Przyznano natomiast dwie równorzędne drugie nagrody w wysokości 400 000 zł: Małgorzata Kieślak, („Liść”, Warszawa); Piotr Gociek, („Skoczek”, Opole) oraz jedno wyróżnienie główne w wysokości 250 000 zł Maria Bigoszczyńska, („Mosiądz”, Warszawa).

Postanowiono także zaprezentować w całości Bogny Gawrońskiej („labo”, Łódź), a niektóre teksty spośród nadesłanych propozycji wyróżnić drukiem w kolejnych numerach „Czasu Kultury”. Roman Senski („anna”, Kęsowo); Piotr Grabowski („Topór 47”, Gdańsk); Tomasz Różycki („Róża”, Opole); Adam W. Kulik („Kalikst”, Lublin); Ewa Parma („999”, Katowice); Jerzy Fronczek („Hubal”, Kraków); Michał Martyniak („J. P. Jem”, Warszawa); Adam Wiedemann („ORG”, Książenice); Sławek Rokicki („Mruczuś”, Unisław); Tomasz Majeran („Tekla T.”, Wrocław); Waldemar Mystkowski („Cygaro”, Zielona Góra); Paweł Berkowski („Pieś”, Ostrów Wielkopolski); Ireneusz Sas („Dzięcioł”, Kraków); Augustyn Baran („ALDEBARAN”, Izdebbki); Krzysztof Lisowski („Urszula”, Kraków); Zygmunt Koch („Wiosna”, Katowice); Szymon Kantorski („Zbigniew Chudy”, Poznań).

21 LUTEGO 1991 roku nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu literackiego „Czasu Kultury” na małą formę prozatorską. Jury w składzie: Rafał Grupiński, Jan Karłowicz i Piotr Śliwiński postanowiło nie przyznawać nagrody pierwszej. Przyznano natomiast cztery równorzędne nagrody, w wysokości 350 tysięcy złotych każda:

- Augustynowi Baranowi (Izdebbki, godło „Skorpion”) za opowiadanie pt. „Nico później niż zawsze”
 - Kamili Pawłowicz (Lublin, godło „Kama”) za opowiadanie pt. „Wina”
 - Tomaszowi Sektasowi (Żabki k/Warszawy, godło „Norim”) za opowiadanie pt. „Dzień pierwszy”
 - Adamowi Wiedemannowi (Xsiążenice, godło „A-2”) za opowiadanie pt. „Śmierć Zbigniewa Herberta”.
- Postanowiono przyznać jedno wyróżnienie w wysokości 200 tysięcy złotych:
- Edmundowi Pietrykowi (Poznań, godło „Bon”) za opowiadanie pt. „Klepsydra na głowie”.
- Wszystkich nagrodzonych i wyróżnionych zapraszamy na spotkanie i wręczenie nagród, które odbędzie się 27 kwietnia br. w Galerii ON, w Poznaniu, ul. Fredry 7, o godz. 17.00.
- Przewidujemy także druk wszystkich nagrodzonych utworów w kolejnych numerach „Czasu Kultury”.

SAMUEL WILLENBERG Bunt w Treblince

Wyjątkowej dramaturgi świadectwo II wojny światowej.
Jest głęboką refleksją nad zagładą Żydów
i postawami Polaków wobec holocaustu.

Res Publica
poleca tę szczególną książkę,
nieznaną dotychczas polskiemu Czytelnikowi.

Wydawnictwo „Alfa” proponuje



TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

REDAKTOR: Waldemar Gąsper.

ZESPÓŁ: Natalia Adaszyńska, Anna Bokiej, Melania Dzieduszycka, Jakub Ekier, Rafał Grupiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kalicki, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Małgorzata Łukaszuk, Marta Makowiecka, Łukasz Małachowski, Agnieszka Piwowarska (sekretarz redakcji), Jan Stachowski, Marian Stala, Robert Tekiel, Wojciech Tomczyk.

WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bieńczyk, Marta Bratkowska, Krystyna Cholewicka, Agnieszka Dybek, Grzegorz Filip, Krzysztof Koehler, Jacek Królak, Małgorzata Kruszczyńska, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Dorota Piwowarska, Brygida Pütz, Bożena Szymula, Jacek Rujna, Mateusz Werner.

Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnog.

Redaktor graficzny: Donat Chruściński, Marzena Włodarczyk. Korekta: Łucja Andrzejczak, Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.

Wydawca: PLEJADA

Skład: „PRINT”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie możliwość zmiany tytułów nadesłanych tekstów oraz skrótów w publikowanych listach do redakcji.

Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

TYGODNIK LITERACKI 19

Mój resentment

Oglądanie telewizji jest podobno jedną z najmniej łagodnych odmian masochizmu. Jak więc w takim razie nazwać oglądanie audycji, której po części jest się bohaterem i to bohaterem negatywnym? W podobnej sytuacji redakcja pisma, które chce być popularne, powinna natychmiast zamówić ripostę u zmaltretowanego publicznie autora, by zmaltretował on w odpowiedzi swoich oprawców; i to zarówno dla ułatwienia mu odreagowania stresu jak i dla – nie ukrywamy tego – uciechy gawiedzi. „Tygodnik Literacki jest pismem inteligentnym, więc – nie wątpię, że taki tekst u mnie zamówi – sam go natychmiast napisałem i do redakcji zawiozłem. Oto on.

Telewizyjne „Rozmowy w Res Publice” to przykład zupełnie nieźle robionych programów publicystycznych, w których postaci szacownych gości przepatują się z ważnymi i aktualnymi tematami dyskusji, a meandry błyskotliwych popisów erudycyjnych z kłębami dymu papierosowego. Niezależnie od kontrowersji związanych z poruszanym tematem czy osobą zaproszonego gościa jedyną rzeczą, której redaktorzy tego sławnego pisma nie potrafią uszanować, są ich własne plucia. Rozmowy odbywają się w atmosferze wzajemnej kurtuazji o dbałości o rzeczowe argumenty. Gdybyż jeszcze tylko świat otaczający kameralne studio był równie kulturalny – chciałoby się westchnąć.

Niestety. Wokół tego dzwonia, jak śpiewał przed laty pewien zespół rockowy. Dłużej nie można było udawać. Nie można było dalej ukrywać przed odbiorcami rozmów tego, że toczą się one na odosobnionej i osamotnionej wysepce. Trzeba było podjąć się niewdzięcznego zadania i spróbować opisać panoszący się skrajny negatywizm, resentment i zdżiczenie leśnych obyczajów. Zaatakowano „brulion”, zaatakowano młodych publicystów „Tygodnika Literackiego” i mnie jako podstarzałego, resentymentalnego harcownika. „Grupiński ma 40 lat!” – wykrzyknął w pewnej chwili triumfalnie i demaskatorsko Paweł Śpiewak, jak zwykle myśląc się tylko trochę. Po tej krytyce pozostaną tylko grzyby – dodał nieco później; albowiem – stręśłony – wszelką krytykę w tych pismach kieruje się wyłącznie zawiścią i resentmentem. Jest ona grą zastępczą, gdyż udaje, że chodzi o przewartościowanie w polskiej literaturze, w dotychczasowych hierarchiach, a tak naprawdę skrywa niepoohamowaną chęć jej autorów wdarcia się na salony, w kręgi obecnej elity przez wyrzucenie czy wyeliminowanie z niej pewnych nazwisk i postaci. Innymi słowy: prywata, kompleksy, zawiść i w efekcie skrajny nihilizm zamiast programu i kurtuazji...

Do diaska! Dopiero w tym miejscu z przykrością zauważyłem, że polemizowanie z podobnego typu zarzutami nie ma najmniejszego sensu. No bo też, prawdę powiedziawszy, skąd Paweł Śpiewak to wszystko wie? Jak dowiedział się o tak skrajnie skrywanych przeze mnie i podobnych mi krytycznych hunwejbiniów zamiarach?

Coż. Ten felieton miał być dłuższy. Nie będzie. Mógłby być żartobliwy lub wręcz stawianym zarzutom łagodnie, po chrześcijańsku perswazyjny. Nie, nie może. Z tej sytuacji nie ma wyjścia. Mój

resentyment to przecież dowód; dowód na inne od deklarowanych cele, to dowód na spisek prawie... Na własny strach trudno odnaleźć lekarstwo w cudzym poczuciu bezpieczeństwa. Zastanawiam się tylko, czy to nie w „Res Publice” demaskowano kiedyś sposób myślenia z jakim mieliśmy do czynienia w środkowej dyskusji. Czy nie przekonywano nas, że przypisywanie złych intencji innym tylko dlatego, że nas krytykują prowadzi donikąd?

Ostatecznie mógłbym na zarzuty skrajnego negatywności odpowiedzieć tak zwanym programem pozytywnym, wymienić niekiedy, których szczerze lubię i podziwiam, albo też, wzorując się na tradycji naszych biednych, zewsząd atakowanych elit wykorzystać sytuację dla zareklamowania kilku bliskich znajomych. Mógłbym także napisać w akcie skruchy parę tekstów nudnym, ale za to poważnym, akademickim i metodologicznie szluzowym stylem, chociażby przyprowadzić rozróżnioną frazeologią jaką ostatnio lansują „Teksty Drugie”. Wiele osób usłanie mnie do tego namawia. Niestety, podobna sytuacja zbyt mocno kojarzy mi się z uczonym, który w trakcie stosunku seksualnego snuje rozważania, czy lepiej byłoby gdyby się ruszał wyłącznie do tyłu czy może raczej do przodu, co w końcu doprowadza go do wyboru złotego środka. Nie sądzę, aby z tego cokolwiek mógł odnieść korzyść, nie mówiąc już o przyjemności...

Pozostaje mi więc wypowiedzieć na zakończenie tych uwag garść szczerych zapewnień, w które może uwierzyć ktoś równie naiwny jak ja.

1. Panie Pawle, pańska pozycja w elicie nie jest zagrożona, proszę się więc nie niepokoić. przynajmniej na razie jest pan daleko na liście najgroźniejszych przeciwników.

2. Co więcej, nie mam zamiaru wdierać się na salony, a nawet przeprowadzać do Warszawy, bez paniki. Niech Pan wszystkich uspokoi. Dodam nieskromnie, że zrobiłbym to tylko w wypadku przeprowadzki do Belwederu, drugie miejsce w Rzymie mnie nie interesuje.

3. Mój resentment ma charakter wyłącznie estetyczny, jest, jeżeli można to tak nazwać – apersonalny. Krytykę takich zjawisk, jak wkrzeszanie przez jedno z czołowych pism literackich doktryny estetycznej z czasów Matejki i Wyspiańskiego, uważam za elementarny obowiązek. Milczenia nie usprawiedliwia tu nawet nieznanostwo historii tychże doktryn.

4. I wreszcie „TL” jest rzeczywiście dość inteligentnym pismem. Nie zamówił u mnie powyższego tekstu, gdyż z góry doszedł dla wniosku, do którego sformułowania ja potrzebowałem trzech akapitów.

A poza tym w dyskusji broniło mojej postawy dwoje rozmówców. Wnioski z tego nasunęły mi się także dwa: różnica między dobrym poetą a nie najgorszym przecież publicystą mogą być większe niż między strażą przednią i taborami armii Tikilininurty; z kolei związki między urodą i inteligencją wcale nie zostały – jak się niektórym wydaje – zerwane w trakcie rozwoju kultury czegoś doświadczenie przynajmniej przez chwilę ogrzało moje serce. Takich obrońców i obrończych wypadki mi tylko życzyć moim przeciwnikom. Przykre to może dla reszty naczelnych, ale prawdziwe: w dzwoni jest najpiękniej.

Rafał Grupiński

mieszani

Krytyk w akcji

Najpiękniejszy przedmiot to przedmiot nieistniejący – powiedzieli Stefan Mallarmé i Zbigniew Herbert. W tym stwierdzeniu zawarty jest dogmat o nieistnieniu piękna. Piękno nie istnieje jako przedmiot. Piękno żyje w podmiocie. W żądy, podziwie, tęsknocie, przerażeniu, zachwycie... Czyżby nagle sprzeniewierzał się wszystkiemu, w co wierzyłem? Przecież tłumacząc „Hymn do Piękna” Baudelaire’a każdemu słowu dawałem temperaturę własnego ognia:

Nieważne, czy przybywasz z niebiosów, czy z piekła, Jeśli, monstrum genialne z marzenia i błota, Do tej nieskończoności, która mnie urzekła Tajemnicą wieczystą, otworzysz mi wrota.

Nieważne, czy cię pocałował Bóg, czy bies w otchłani, Czy lśnią welurem oczu wstydy czy bezwstydy, Jeśli ujmiesz, jedyna królowo i Pani, Choć trochę nędzy życia, a światu ohydy.

A przecież tajemnicą tej energii przeobrażającej nicieś w coś, brak w nadmiar, jest jej niewymierność, nieosiągalność, bezpostaciowość czyli wszechpostaciowość wcielająca się we wszystko, w kamień, malarski obraz, kobiecą postać, strofę wiersza, kadencję skrzypcowego koncertu. Energia ta jest wszędzie i nigdzie jednocześnie. Umyka przed niewolą konkretności, broni się przed unieruchomieniem w czci, która jak każde uczucie umiera z wyczerpania. Aby trwać, Piękno musi być wyobrażone i niewyobrażalne, pojmovane i niepojmovane jednocześnie.

Przecież piękna nie można zamierzyć, zaplanować, spłodzić. Powstaje nie wiadomo jak, kiedy, dlaczego. Powstaje tak samo z miłości jak z nienawiści, tak samo z zachwyty jak z bólu. Jest zawsze nieprzewidywane, powstaje z łamania zasad, prawideł, praw i boskich i ludzkich. Jest czymś nienaturalnym, także w naturze.

Cześć oddawana dzisiaj secesji, powszechna aprobata, ba, kult kiczu panoszącego się na zasadach równości w sztuce wysokiej, zmusza do podejrzliwości. Zaglądam przez ramię tej czci i tego kultu. Muzeum brzydoty, czyli muzeum secesji gromadzi przedmioty, meble, bielec, kałamarze w kształcie amfory, popielnice z łabędziem, czegoż tu nie ma: węże w porcelanie, jelenie w mahoniu, owce i wilki w brzoju, i te obrazy, i te obrazy rzewnych scen rozstania, rzewnych scen powitania, kochania, tęsknienia i spokoju. Tyle pięknej brzydoty. Bo przecież to wszystko zostało zamierzone, zachciane, namalowane i wyrzeźbione jako piękno. Wierzone i wiedziane, że wystarczy tylko chcieć tworzyć piękno, a piękno powstanie. W dzisiejszej czci oddawanej secesji ta wiara i to przekonanie odżywa się i odżywa. Jest w tym może

także trochę kultu dla czasu minionego, dla cieniów przeszłości zasługujących na pamięć. Zapewne. Ale jest także, jest na pewno, nie wątpliwe w sobie przekonanie, że piękno jest do zrobienia, że piękno jest przedmiotem z metalu, drzewa, kamienia i powietrza. Także ze słowa, także z dźwięku. Wystarczy otworzyć radio, by się odezwało. Powszechna, umożliwiona przez technikę reprodukcji obecność w zasięgu każdego oka i ucha wielkich dzieł malarstwa, sztuki, muzyki, działa – dziwne, ale prawdziwie – destrukcyjnie. Wielka sztuka jest, okazuje się, takim samym krąkiem, czy taką samą kasą jak ten hałasujący kicz, bodźcem takiego samego doznania.

I w momencie atakującego zmęczenia taka cudem wycytana w książce „historijek” stroniczka napisana przez Jana Józefa Szczepańskiego:

„W czasie tej pierwszej mojej wspinaczki zrobiłem odkrycie, że istnieje coś takiego jak piękny lęk. Tak piękny, że aż radosny. Na owym długim trawersie, gdzie tylko czubki stóp znajdowały oparcie i jedynie końce palców chwytły, widziałem przez szeroko rozstawione nogi rudoszary piarg i zielone maliniaki osiemnastu metrow pod mną. Byłem jakby zawieszony w powietrzu, doświadczałem uczucia nienaturalnego lotu. Była w tym groza i uniesienie równocześnie. Świadomość straszliwej kruchości istnienia i oszalamiającego triumfu nad własną słabością. Ale strach, który mi towarzyszył nie miał w sobie nic upokarzającego. Wolny był bowiem od tego najokropniejszego składnika, jakim jest zło zrodzone z ludzkiej intencji – z nienawiści i pogardy.”

Jest to opis doznania estetycznego. Bo tak się przeżywa sztukę. I z takich doznań właśnie sztuka powstaje. Sztuka jest niczym innym jak wyrażeniem nie piękna jako takiego, ale piękna lęku, piękna podziwu, piękna obcowania z absolutem, piękna rozpacz, przerażenia... W każdym nurcie, w każdym prądzie, w każdym wzlocie czy upadku sztuki, w każdej stylistyce zawarty jest cel i bodziec, a nie pragmatyczny zamiar stworzenia piękna stanowi o wielkości antyku, gotyku, baroku... Wyrazić harmonię ludzkiej kondycji, wyrazić wzlot ludzkiej duszy ku nieskończoności bytu, wyrazić przepych i pychę ludzkiego ciała, wyrazić niepoohamowaną przelewającą się przez granice poznania radość życia... To było źródłem, bodźcem, celem tworzenia. Nie zamiar tworzenia piękna, ale konieczność wyrażania kamieniem, walorem malarskim, dźwiękiem, słowem, absolutnych żądań i marzeń człowieka jest źródłem sztuki. Z drobnostkowych zamiarów robienia rzeczy pięknych powstają rzeczy estetycznie żadne. Z intensywnego doznawania świata, z przeżywania jego pełni powstają Pięty Awiniońskie, kwartety Beethovena i koncertujące symfonie Mozarta.

Po co piszę te rzeczy, które wszyscy doskonale wiedzą bez mnie? Już wiem. To miała być recenzja z *Historijek* Jana Józefa Szczepańskiego. Tak właśnie wygląda „krytyk w akcji”.

Zbigniew Bienkowski

Sztuka przetrwania

Jak przegrać wybory?

Typowe pytanie tylko na pozór jest absurdalne. Wychowankom, czy jak chcą niektórzy, ofiarom Peerehu nie trzeba tłumaczyć rzeczy oczywistych. Jeszcze kilka lat temu wielu z nas przebiegało lekcję: jak wytrwale dążyć do jasno wytyczonego celu by nigdy go nie osiągnąć. Otóż nieuchronnie zbliżają się (bo przecież się nie oddalają) wybory parlamentarne. Bez dwóch zdań – wiszą nad Polską wolne wybory niczym miecz Damoklesa. Pytanie „jak je przegrać” spędza sen z powiek polskiej elicie politycznej. Ktoś mógłby spytać: czemu nie pragną zwycięstwa? Dlaczego w ogóle startują w wyścigu, którego nie chcą wygrać? Zasadniczo ten stan rzeczy ma trzy przyczyny.

2. Pierwsza przyczyna jest, nazwijmy ją, atawistyczna. Zapewne niektórzy z nas pamiętają te dziki czasy, gdy dzisiejszy establishment nazywał się opozycją demokratyczną. Inni zapewne pamiętają popłoch, z jakim w niektórych kręgach opiniotwórczych powitano powstanie „rządu solidarnościowego” (wówczas nazywano to przejściem władzy). Bez ryzyka błędu można sformułować tezę, że bycie opozycjonistą stało się drugą naturą wielu ludzi. Nie można zapominać, że w kraju demo-

kratycznym pozostawanie w opozycji ma wiele zalet. Zapewnia komfort psychiczny, sympatię ludu i doskonałą pozycję towarzyską. Człowiek z obozu rządzącego zadowolony musi pozycję towarzyską – przy czym nigdy nie jest pewien, czy okazany mu szacunek nie wynika wyłącznie z protokołu.

3. Przyczyna druga jest, nazwijmy ją, społeczno-gospodarcza. Kadencja nowo obranego parlamentu przypadnie na lata nader niepewne, by nie rzec chude. Najbardziej lapidarnie ujął to Jarosław Kaczyński: „Proszę przyjrzyć się okresowi 1920–1921. Wiele ówczesnych polityków dochodziło nawet do funkcji premiera czy ministra, by potem nagle zniknąć z politycznego tła.” W ciągu najbliższych kilku lat ludzie czy partia, którzy wezmą odpowiedzialność za rządy mogą wyłącznie tracić. Tu trzeba wyrazić uznanie Janowi Krzysztofowi Bieleckiemu i jego ludziom. Zachowali się jak mężczyźni – poszli tam, gdzie najtrudniej. Tak należy postępować. A od dawna wiadomo, że nie warto postępować, tak jak należy.

4. Trzecia przyczyna, dla której należy przegrać wybory, jest natury kalendaryzacyjnej. Otóż jak wszyscy wiemy, nie licząc króla Szwecji Karola Gustawa XVI, czterdziestosiemioletni Lech Wałęsa jest

wśród europejskich głów państwa najmłodszy. Jednocześnie jest on nestorem polskiej elity politycznej. Młodzi odeń są wszyscy – Merkel, Boni, Hall, Balcerowicz, Bujak, Łopuszański, Nowina-Konopka, K. Król, M. Król, Kaczyński, Frasiński, J. K. Bielecki, Krzakiewicz, Borusewicz, Cz. Bielecki, Rulowski, Lewandowski, Zalewski, Lityński i Michnik. Wszyscy ci gentlemani do polityki mocno przyszłościowi. Dla beniaminka – trzydziestoletniego Jana Marii Rokity szczyt kariery przypadnie w głębokim XXI stuleciu. Czy warto wobec takich perspektyw ryzykować – jakże przecież łatwe w najbliższych latach – „zniknięcie nawet z politycznego tła”. Przegrana w najbliższych wyborach parlamentarnych jest dla polskich polityków życiową koniecznością. Wszyscy chcą być w opozycji. I wszyscy będą.

5. Nie chodzi oczywiście o to, by wybory przegrać z kretelem. Nikt nie projektuje własnej klęski. Chodzi o to by wejść do Sejmu i Senatu w niedużej, najwyżej kilkudziesięcioosobowej grupie. Grupie zauważalnej, istotnej, lecz w żadnym wypadku nie pretendującej do formowania rządu. W demokracjach zachodnich wiele niedużych partii osiąga znaczne korzyści funkcjonując jako parlamentarna jęczyczek u wagi. Nam przyjdzie jednak żyć w kraju, którego Sejm będzie składał się z samych jęczyczków.

6. Na drodze do pięknego celu, jakim jest sejmokracja, stosuje się zasadniczo jedną metodę. Filozofowie nazwali ją siekaniną, rzeźnicy mnożeniem bytów. Liczbę działających w Polsce partii politycznych obserwatorzy określają jako zmierzającą do nieskończoności. Niestety mają rację. Partie dzielą

się, pierwiastkują i mnożą jednocześnie. W tej kołomyi nie orientują się już największy przytomniacy. Jeśli nie wierzyacie, sami sprawdźcie. Spróbujcie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin ustalić, ile jest PSLi. Albo do ilu i jakich partii należy Jacek Kuron. Natomiast na palcach jednej ręki można policzyć partie, które zdołały sformułować wyrazisty i przejrzysty program działania. Polska scena polityczna to magma spowita gęstą mgłą. Dziś, prawie dwa lata po ześlomowaniu pezetperii.

7. Wszystko wskazuje na to, że do Zgromadzenia Narodowego wejdzie kilkanaście czy kilkadziesiąt antagonistycznych ugrupowań. Wobec obietnic przedwyborczych wyborcy nie będą mieli żadnej realnej egzekutywy. Czegoż będzie można wymagać od dwudziestu „naszych” w półtyścijnym Sejmie? O sprawach takich jak Konstytucja, kształt państwa i prawa decydować będą taktyczne, chwilowe koalicje zawierane w sejmowych korytarzach skutkiem międzypartyjnych przetargów. Suweren władzy – jakim w demokratycznym państwie jest społeczeństwo – o decyzjach swych przedstawicieli będzie dowiadywał się z telewizji.

Ktoś powie, że nic się nie zmienia – od lat pięćdziesięciu nie mamy na nic wpływu i ktoś decyduje w naszym imieniu. Analogia jest fałszywa. Tak naprawdę różnica jest fundamentalna – do tej pory byliśmy sterowani przez marionetkowy rząd reprezentujący interesy ościennej nomenklatury. Teraz ubeczasnowolnimy się sami, własnoręcznie. Dla nas, dla wyborców pytanie „jak przegrać wybory” jest już nieaktualne. Mamy to za sobą.

Wojciech Tomczyk